

Julian Barnes

Jeżozwierz

*The Porcupine*

Przekład: Tomasz Bieroń

Starszy pan stał tak blisko okna na szóstym piętrze, jak tylko pozwalał mu funkcjonariusz. Na zewnątrz panowały nienaturalne o tej porze dnia ciemności; w środku liche światło lampy stojącej na biurku połyskiwało na metalowej oprawie grubych szkieł starszego pana. Nie był tak dostojny, jak oczekiwał funkcjonariusz: garnitur wymiał się na plecach, a resztki mysich włosów sterczały niechlujnie na wszystkie strony. Z jego postawy przebijała jednak pewność siebie, a nawet zadziorność - lewą stopę prowokacyjnie postawił na białej linii. Z lekkim skrzywieniem głowy przyglądał się demonstracji kobiet sunącej przez centrum miasta, które przez tak długi czas pozostawało pod jego władzą. Uśmiechnął się do siebie.

Kobiety zebrały się w ten chmurny grudniowy wieczór przed katedrą Świętego Michała Archanioła, która już za czasów monarchii pełniła funkcję punktu zbornego. Wiele z nich weszło najpierw do środka i zapaliło świece wotywnie: cienkie, żółte świece, które - czy to z gorąca, czy to z „wrodzonej ułomności” - gięły się w pół, chlapiąc woskiem na tacę. Później, uzbrojone w narzędzia protestu, kobiety wyszły na plac katedralny, na który jeszcze tak niedawno nie miały wstępu, gdyż okolony był kordonem wojska pod wodzą oficera w skórzanym płaszczu bez dystynkcji. Ciemności były tu intensywniejsze, jako że tylko jedna latarnia na sześć jarzyła się znużonym blaskiem. Wiele kobiet wyjęło więc grubsze, bielsze świece. By nie marnować więcej zapalek, odpalały je jedna od drugiej.

Choć niektóre miały na sobie sztuczne futra, większość przyszła ubrana zgodnie z zaleceniami. A dokładniej - nie ubrana: wyglądały

one jakby dopiero co wyszły z kuchni. Fartuchy miały zawiązane na suknie z grubego lnu, a na wierzchu ciepłe swetry, bez których zmarzłyby na kość w nie ogrzewanych mieszkaniach. Do głębokiej kieszeni fartucha czy płaszcza (u odzianych bardziej oficjalnie) każda z kobiet włożyła duże narzędzie kuchenne: aluminiową chochlę, drewnianą warzęcę, niekiedy ostrzałkę do noży, a nawet, gdyby trzeba było kogoś nastraszyć, ciężki tasak.

Demonstracja rozpoczęła się o szóstej, tradycyjnej godzinie przyrządzania kolacji. Ostatnio jednak słowo to zaczęło oznaczać naprędce ugotowany wywar, coś pomiędzy rosółem a gulaszem, na który składało się parę rzep, przy odrobinie szczęścia - szyja kurczaka, kilka liści sałaty, woda i stary chleb. Dziś nie będą mieszać tej haniebnej brei chochlami i warzęcami, które niosły w kieszeniach. Dziś wyjęły warzęchy i wymachiwały nimi z nieco sztucznym podnieceniem. A potem zaczęły.

Kiedy organizatorki, grupa sześciu kobiet z Osiedla Stalowego (blok 328, klatka schodowa 4), zeszły z brukowanego placu i postawiły pierwsze kroki na asfaltowej alei, rozciętej połyskującym ponuro torowiskiem, pierwsza blaszana chochla uderzyła o rondel. Przez kilka chwil inne dołączały nieśmiało, bijąc rytmicznie w takt posępnej muzyki kuchennej. Kiedy zew podjęła większość demonstrantek, rytm zagubił się, cisza pomiędzy uderzeniami utonęła w powodzi dźwięków z tyłu demonstracji, aż wreszcie cała okolica katedry, do której ludzie przychodzili teraz otwarcie, by pogrążyć się w cichej modlitwie, rozbrzmiewała natarczywym kuchennym

harmidrem.

Kobiety z tłumu potrafiły rozróżnić poszczególne dźwięki: martwy, niosący się głuchym echem stukot aluminium o aluminium, wyższe, bardziej zagrzewające do boju dudnienie drewna o aluminium, zaskakująco dźwięczny - jak dzwony okrętowe - brzęk drewna o żeliwo i ciężki łomot aluminium o żelazo jak odgłos robót drogowych. Zgiełk stężał i zawisł nad ruszającymi w drogę kobietami. Takiego hałasu, wzmocnionego jeszcze przez swą dziwaczność i brak rytmu, miasto dotąd nie słyszało; był gwałtowny, dotkliwy, bardziej przejmujący niż grobowe jęki. Grupa młodych mężczyzn na rogu pierwszej przecznicy wykrzykiwała obelgi i wznosiła ku górze pięści, lecz potężny łoskot uczynił z nich bezradne, nieme ryby, a przekleństwa nie wychodziły poza zasięg żółtego światła latarni.

Organizatorki spodziewały się co najwyżej kilkuset kobiet z Osiedla Stalowego. Tymczasem gwałtowny hałas, który podążał wzdłuż ciężkich węzowych szyn tramwaju numer osiem, był dziełem paru tysięcy: z Osiedli Młodości, Nadziei, Przyjaźni, Czerwonej Gwiazdy, Gagarina i Przyszłości, a nawet z Osiedli Lenina i Armii Czerwonej. Każda kobieta niosąca świecę przytrzymywała ją kciukiem, a pozostałymi palcami ścisnęła uchwyt rondla czy patelni; gdy na rondel spadała trzymana drugą ręką warzęcha lub chochła, płomień świecy dygotał, a wosk pryskał na rękawy. Kobiety nie trzymały transparentów, nie skandowały haseł; tak robią mężczyźni. One szły nawałą metalicznego zgiełku i słonecznikowym kobiercem żółtych twarzy oświetlonych płomieniami, które podskakiwały przy

każdym uderzeniu w „bęben”.

Z ulicy Stanowa wyległy na plac Ludowy, którego mokre kocie łby śmiały się z nich jak wielka taca błyszczących bułek. Doszły do przysadzistego, krzepkiego jak schron przeciwlotniczy Mauzoleum, gdzie leżały zabalsamowane zwłoki pierwszego przywódcy. Demonstrantki nie przystanęły. Nie wzrosło też natężenie hałasu. Przeszły na drugą stronę placu pod Muzeum Archeologiczne, zuchwale minęły zarekwirowany Urząd Bezpieczeństwa, na którego szóstym piętrze starszy pan wyciągał szyję, uśmiechał się i jeszcze bardziej wysunął do przodu lewą stopę, po czym przeszły obok urodziwego neoklasycznego pałacu, gdzie do niedawna miała swą siedzibę Partia Komunistyczna. Kilka okien na parterze było zabitych sklejką, a entuzjastyczne, lecz niegroźne podpalenie osmalilo ścianę narożną od drugiego do ósmego piętra. Nawet tutaj kobiety jednak nie zatrzymały się, tylko niektóre przystanęły na chwilę, by splunąć - zwyczaj ten wprowadzono ostrożnie mniej więcej rok wcześniej, z czasem stał się tak rozpowszechniony, że wieczorem trzeba było wzywać straż pożarną, aby splukała bruk, lecz ostatnio stracił na popularności. Jednakże swą pogardę dla Partii Socjalistycznej (dawniej Komunistycznej) wyraziło wystarczająco dużo kobiet, by idące za nimi demonstrantki ślizgały się na pienistej plwocinie.

Natarczywy kuchenny harmider, jęk lamentującego narodu i pustych brzuchów, minął hotel Sheraton, gdzie zatrzymywali się bogaci cudzoziemcy. Niektórzy z gości stali wyczekująco przy oknach i trzymali w dłoniach świece, w które poradzono im się zaopatrzyć

przed wyjazdem, świece lepszej jakości niż te w dole. Kiedy zrozumieli przeciw czemu kobiety protestują, niektórzy cofnęli się do pokoju i przypomnieli sobie, co zostawili na talerzu po śniadaniu: kawałki białego sera, parę oliwek, pół jabłka, raz tylko zaparzoną torebkę herbaty. Wspomnienie o tym bezmyślnym marnotrawstwie roznieciło w nich ulotny płomień poczucia winy.

Kobietom zostało już bardzo niewiele drogi do budynku parlamentu, gdzie spodziewały się zostać zatrzymane przez wojsko. Jednak żołnierze, wystraszeni hałasem, schronili się już za wielkie żelazne bramy, zostawiając na zewnątrz tylko po jednym wartowniku w obu budkach strażniczych. Wartownikami byli młodzi rekruci z regionu wschodniego, świeżo ostrzyżeni na zero, politycznie mało rozgarnięci. Obaj mieli przewieszane przez piersi karabiny maszynowe i srogo spoglądali ponad głowami kobiet, jakby kontemplując jakiś odległy ideał.

Kobiety odwzajemniły ich obojętność. Nie przyszły tu wrzeszczyć, prowokować, zakosztować męczeństwa. Stały kilkanaście metrów przed budkami strażniczymi, a te z tyłu nie napierały. Karność ta nie współgrała z wytwarzaną przez demonstrantki grzmiącą kakofonią, dudniącym, bębniącym, jazgotliwym, zachłannym dźwiękiem, który po wejściu na plac ostatnich kobiet osiągnął zenit. Hałas właczał się między kraty ogradzające parlament, wspinał po szerokich schodach i szturmował do złożonych podwójnych drzwi. Nie przestrzegał protokołu ani kolejności zabierania głosu. Wdarł się na salę obrad, włączył w debatę

na temat reformy rolnej i zmusił przedstawiciela Partii Chłopskiej do przerwania wypowiedzi i powrotu na miejsce. Dzięki awaryjnej dostawie prądu posłowie byli jasno oświetleni i widzialność ta po raz pierwszy wprowadziła ich w zażenowanie. Siedzieli w milczeniu, spozierając niekiedy po sobie i wzruszając ramionami, a na placu wzbierał na sile niemy, lecz aż nadto wymowny protest. Kobiety tłukły chochlami i warzuchami w garnki i patelnie, drewnem o aluminium, drewnem o żeliwo, aluminium o żeliwo, aluminium o aluminium. Świece dopalały się, parząc woskiem zaciśnięte kciuki, lecz huk i błyskające ogniki nie ustawały. Kobiety nie zniżyły się do słów, gdyż całymi miesiącami słyszały wyłącznie słowa, słowa nie do przełknięcia, słowa nie do strawienia. Przemawiały metalem, lecz innym od tego, który w podobnych okolicznościach pozostawia po sobie męczenników. Przemawiały bez słów, spierały się, grzmiały, żądały i argumentowały bez słów, błagały i wyrzekały bez słów. Trwało to godzinę, a potem, jak na komendę, zaczęły opuszczać plac. Nie przestały jednak hałasować. Wielkie cielsko huku zakolebało się jak wstający na nogi wół. Później demonstrujące kobiety zaczęły stopniowo rozchodzić się w stronę swych bloków: z powrotem na Osiedle Stalowe i Gagarina, na Osiedle Czerwonej Gwiazdy i Przyszłości. Hałas toczył się szerokimi alejami, wskakiwał w przecznice i przygasał; na rogach ulic wpadał niekiedy na siebie dźwięcząc ze zdumienia jak dziecinne cymbałki.

Starszy pan na szóstym piętrze zarekwirowanego Urzędu Bezpieczeństwa siedział teraz za stołem, jadł kotlet i czytał poranną

„Prawdę”. Od strony siedziby Partii Socjalistycznej (dawniej Komunistycznej) dotarł do niego strzęp hałasu. Przerwał jedzenie, by posłuchać, jak nadchodzi z brzękiem, wzbiera, rozprasza się. Twarz starszego pana była widoczna w świetle stojącej na biurku lampy. Strażnik na służbie, który siedział trzy metry dalej, uznał, że Stojko Petkanow śmieje się z rysunku w gazecie.

Piotr Soliński i jego żona Maria mieli nieduże mieszkanie na Osiedlu Przyjaźni (blok 307, klatka 2) na północ od alej. Gdy został prokuratorem generalnym, zaproponowano mu większe, lecz odmówił. A przynajmniej na razie: nie wydawało się zbyt taktowne, by przyjmować korzyści materialne od nowego rządu, a jednocześnie oskarżać poprzedni o gigantyczne nadużycia. Maria uznała tę argumentację za śmieszna. Prokurator generalny nie powinien mieszkać w zawilgłej trzypokojowej klitce profesora prawa i wymagać od swej żony, by jeździła autobusem. Poza tym w mieszkaniu na pewno jest podsłuch. Nie mogła już znieść, że jakiś nalany tłumok w zatęchłej piwnicy podsłuchuje ich rozmowy, a nawet, kto wie, ich okazjonalne pożycie.

Soliński zarządził, by mieszkanie sprawdzono. Dwóch mężczyzn w skórzanych płaszczach kiwało znacząco głowami po rozkręceniu telefonu. Odkrycie to nie zadowoliło jednak Marii. Pewnie sami zakładali, powiedziała. Na pewno jest więcej mikrofonów: ten w telefonie służy do tego, żeby go podsłuchiwany znalazł i poczuł się bezpiecznie. A zawsze znajdzie się ktoś, kogo



interesuje, o czym rozmawia prokurator generalny po powrocie z biura. Piotr powiedział na to, że w takim razie nie ma sensu się przeprowadzać, gdyż każde inne mieszkanie będzie na jeszcze nowocześniejszym podsluchu.

Był jednak jeszcze jeden powód, dla którego Piotr Soliński wolał zostać tam, gdzie mieszkał przez ostatnie dziewięć lat. Okna numerów parzystych i nieparzystych w ich bloku wychodziły na północ, na pasmo niskich wzgórz, które zdaniem historyków wojskowości stanowiły naturalny wał ochronny przeciw Dakom, kiedy dwa tysiąclecia wcześniej zakładano miasto. Na najbliższym wzniesieniu, które Piotr z trudem dostrzegł przez coraz bardziej zanieczyszczone powietrze, stał pomnik Wdzięczności dla wyzwolicielskiej Armii Czerwonej. Bohaterski żołnierz z brązu tkwił na piedestale z wysuniętą bojowo lewą stopą i szlachetnie wzniesioną głową, nad którą dźwżył karabin z błyszczącym bagnetem. Spiżowa piechota z karabinami maszynowymi na płaskorzeźbie wokół cokołu walecznie stała na straży pryncypiów.

Soliński często chodził pod pomnik jako dziecko, gdy jego ojciec był jeszcze w łaskach. Ten pyzaty i poważny chłopiec w wykrochmalonym mundurku czerwonego pioniera był zawsze poruszony ceremoniałem odprawianym w Święto Wyzwolenia, rocznicę Rewolucji Październikowej czy Święto Armii Czerwonej. Blaszane trąbki orkiestry wojskowej, które błyszczały jaśniejszym blaskiem niż dźgający niebo bagnet, wydmuchiwały z siebie uroczystą muzykę. Ambasador radziecki i dowódca sojusznicznych wojsk

radzieckich składali wieńce wielkie jak koła traktorów, a za nimi szedł prezydent i zwierzchnik Armii Ludowej. Potem cofali się całą czwórką ramię w ramię, trochę pokracznie, jakby się bali, że nie znajdą gruntu pod stopami. Z każdym rokiem Piotr czuł się ważniejszy i bardziej dorosły: z każdym rokiem goręcej wierzył w harmonijną współpracę narodów socjalistycznych, która doprowadzi do ich nieodwracalnego, przewidzianego naukowo zwycięstwa.

Jeszcze kilka lat temu pod Aloszę, jak nazywano pomnik, pielgrzymowały świeżo poślubione pary. Małżonkowie stali z naręczami róż, cali we łzach, do cna wzruszeni tą chwilą złączenia swego losu jednostkowego z losem historycznym. W ostatnich latach zwyczaj ten podupadł, aż wreszcie jedynymi gośćmi, nie licząc świąt państwowych, stali się turyści rosyjscy. Kiedy kładli na cokole bukiety kwiatów, odczuwali być może dumę, wyobrażając sobie wdzięczność wyzwolonych narodów.

Rano i wieczorem słońce podświetlało Aloszę jak reflektor teatralny. Piotr Soliński lubił siedzieć za swym małym biurkiem przy oknie i wyczekiwać na pierwsze odblaski światła na bagnecie żołnierza. Unosił wtedy głowę i myślał: oto, co tkwi w trzewiach mojego narodu od prawie pięćdziesięciu lat. Moim zadaniem jest pomóc to wyszarpnąć.

Oskarżony w Sprawie I z Ustawy Karnej został poinformowany, że wstępna rozmowa z prokuratorem generalnym Solińskim odbędzie się o godzinie dziesiątej. Stojko Petkanow zbudził się zatem już o

szóstej, aby przygotować taktykę i sformułować żądania. Najważniejsze to nigdy nie wypuszczać z rąk inicjatywy.

Na przykład tego ranka w areszcie. Zatrzymali go zupełnie bezprawnie, nie podając żadnych zarzutów, i przywieźli go do Urzędu Bezpieczeństwa, któremu zdążyli nadać jakąś burżuazyjną nazwę. Starszy rangą funkcjonariusz pokazał mu łóżko i stół, wskazał dłonią na półkolistą białą linię wokół okna, po czym wręczył mu garść confetti. Tak przynajmniej sądził Petkanow.

- Co to jest? - spytał, sypiąc kolorowymi karteluszkami na stół.

- Pańskie bony towarowe.

- A, czyli za łaskawym pozwoleniem mogę wyjść i postać sobie w kolejkach?

- Pan prokurator Soliński postanowił, że skoro jest pan obecnie zwyczajnym obywatelem, będzie pan naturalnie musiał znosić przejściowe trudności, jakie dokuczają wszystkim zwyczajnym obywatelom.

- Ach tak... Co jeszcze muszę jako zwyczajny obywatel? - spytał Petkanow, parodiując starczą bezwolność. - I co mi wolno?

- To są kartki na ser biały, to na ser żółty, to na mąkę. - Funkcjonariusz usłużnie przebierał w karteluszkach. - Masło, chleb, jaja, mięso, olej, proszek do prania, benzyna...

- Benzyna mi się raczej na wiele nie przyda - zażartował Petkanow, aby zjednać sobie funkcjonariusza. - A gdyby pan tak...? - Lecz oficer natychmiast zeszywniał. - Rozumiem, nie da się. Zresztą jeszcze by mi dorzucili oskarżenie o próbę przekupienia członka

Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju, no nie?

Funkcjonariusz nie odpowiedział.

- Mimo wszystko niech mi pan powie, jak się tym posługiwać - powiedział Petkanow tonem człowieka, którego z teoretycznego punktu widzenia interesują reguły jakiejś nowej gry.

- Każdy bon uprawnia do zakupu towarów na tydzień, należy więc pilnować, żeby wystarczyło.

- A co z parówkami? Nie widzę tu parówek. Wszywa wiedzą, że uwielbiam parówki. - Wydawał się bardziej zaskoczony niż niezadowolony.

- Nie ma kartek na parówki. Bo nie ma parówek w sklepach, proszę pana, więc nie było po co wydawać kartek.

- Logiczne - odparł były prezydent. Odłożył na bok kartki na benzynę. - Nie będą mi potrzebne, z oczywistych przyczyn. Resztę proszę mi wykupić. - Obsypał oficera kartkowym confetti.

Godzinę później funkcjonariusz wrócił z jednym bochenkiem chleba, 200 gramami masła, małą kapustą, dwoma zrazami, 100 gramami białego sera i 100 gramami żółtego, półlitrową butelką oleju (zapas na miesiąc), 300 gramami proszku do prania (jw.) i pół kilogramem mąki. Petkanow poprosił, aby oficer położył wszystko na stole i przyniósł mu nóż, widelec i szklanę wody. Po czym, pod nadzorem dwóch strażników, zjadł zrazy, ser biały i żółty, surową kapustę, chleb i masło. Odepchnął od siebie talerz, rzucił okiem na proszek do prania, olej i mąkę, wstał, podszedł do wąskiego metalowego łóżka i położył się.

Późnym popołudniem wrócił starszy rangą oficer. Odrobinę zawstydzony, gdyż on także był tu winien, wyjaśnił wyciągniętemu na łóżku więźniowi:

- Zdaje się, że pan nie rozumiał. Jak już wyjaśniałem...

Petkanow z łoskotem postawił swe krótkie nogi na podłodze, wstał i zamaszystym krokiem podszedł do oficera. Stał bardzo blisko, mocno szturchnął szarozielony mundur tuż pod lewym obojczykiem. Po chwili dźgnął jeszcze raz. Oficer cofnął się o krok, wystraszony nie tyle zadziornym palcem, ile pierwszym prawdziwym zbliżeniem twarzy, której wizerunek dominował nad całym jego wcześniejszym życiem. Twarz podniosła się ku niemu władczo.

- Pułkowniku - zaczął były prezydent - nie skorzystam z proszku do prania. Nie skorzystam też z oleju ani mąki. Jak pan być może zauważył, nie jestem babą z bloku za alejami. Ludzie, którym zachciało się panu służyć, spieprzyli gospodarkę, więc teraz macie to swoje... confetti. Ale kiedy był pan na służbie u mnie - dla podkreślenia jeszcze raz dosadnie dźgnął oficera palcem - kiedy był pan wierny mnie i Socjalistycznej Rzeczpospolitej Ludowej, to, jak pan sobie przypomina, zdarzały się kolejki, ale tego zasaństwa nigdy nie było. Więc idź pan stąd i od teraz mi pan przynoś przydziały socjalistyczne. A panu prokuratorowi generalnemu proszę powiedzieć po pierwsze, że go pierdołę, a po drugie, że jeśli mi każe przez resztę tygodnia jeść proszek do prania, osobiście za to odpowie.

Oficer wyszedł. Od tej pory Stojó Petkanow dostawał normalne posiłki. Na każde żądanie przynoszono kwaśne mleko. Dwa razy

zdarzyła się nawet parówka. Były prezydent dowcipkował do strażników na temat proszku do prania, a za każdym razem, gdy przynoszono mu jedzenie, powtarzał sobie, że nie wszystko stracone, że jeszcze się na nim przejadą.

Zmusił ich także, by mu dostarczyli z domu pelargonię. Podczas bezprawnego zatrzymania kazano mu ją zostawić. Ale wszyscy wiedzieli, że Stojó Petkanow, wyrosły z gleby swego kraju, śpi z pelargonią pod łóżkiem. Wszyscy to wiedzieli. Po paru dniach dali za wygraną. Przyciął kwiat nożyczkami do paznokci, żeby się zmieścił pod niskim więziennym łóżkiem i od razu zaczął lepiej sypiać.

Teraz czekał na Solińskiego. Stał dwa metry od okna, lewa stopa muskała białą linię. Jakiś niezdara usiłował namalować na sosnowych klepkach regularne półkole, lecz gdy ciągnął po podłodze zlepiony pędzel, musiała mu zadrzeć ręka, z przejęcia albo od wódki. Czy rzeczywiście boją się zamachu na jego życie? Uważał, że powinni się cieszyć na taką możliwość i pozwolić mu stać, gdzie zechce. W te pierwsze kilka dni, zawsze, gdy zabierali go z celi, wyobrażał sobie następującą scenę: pordzewiałe drzwi w piwnicy, błyskawiczne uwolnienie z kajdanek, popchnięcie w plecy i okrzyk: „Uciekaj!”, na który zareaguje odruchowo, po czym oni skorzystają z okazji. Nie mógł zrozumieć, dlaczego się na to nie zdecydowali; wzmagało to jeszcze jego pogardę.

Usłyszał, jak strażnik staje na baczność po wejściu Solińskiego, lecz nie odwrócił głowy. I tak wiedział, czego się spodziewać: pyzaty, zażywny chłoptys w szykownym włoskim garniturze,

kontrrewolucyjne dziecko kontrrewolucjonisty, zasrane dziecko zasrańca. Jeszcze chwilę wyglądał przez okno, po czym powiedział, nie raczywszy się obejrzeć:

- Więc teraz już nawet kobiety wam protestują.

- Mają prawo.

- Kto następny? Dzieci? Cyganie? Umysłowo chorzy?

- Mają prawo - powiedział Soliński beznamiętnie.

- Prawo to może i mają, ale jaki z tego morał? Rząd, który nie umie utrzymać kobiet w kuchni, jest gównem wart, Soliński, gównem wart.

- No cóż, pożyjemy, zobaczymy.

Petkanow skinął do siebie głową i nareszcie się odwrócił:

- No a co tam u ciebie, Piotrze? - Podskoczył ku niemu i wyciągnął dłoń do prokuratora generalnego. - Nie widzieliśmy się już tyle czasu. Gratuluję... sukcesów. - Już nie chłopyś, musiał przyznać, i już nie pyzaty: ziemisty, wychudzony, starannie ogolony, włosy trochę przerzedzone. Wyglądało na to, że jest w dobrym humorze. To minie, pomyślał Petkanow.

- Nie widzieliśmy się - odparł Soliński - odkąd odebrano mi legitymację partyjną, a „Prawda” potępiła mnie jako faszystowskiego odszczepieńca.

Petkanow roześmiał się hałaśliwie.

- Nie powiesz chyba, że nie wyszło ci to na zdrowie. Czy wolałbyś być dzisiaj w partii? Bo jeżeli tak, to przywitamy cię z otwartymi ramionami.

Prokurator generalny usiadł przy stole i położył dłonie na szarej teczce z aktami sprawy.

- Jak rozumiem, chce pan zrezygnować z obrońcy.

- Zgadza się - Petkanow nie usiadł, sądząc, że da mu to taktyczną przewagę.

- Byłoby wskazane...

- Co byłoby wskazane? Przez trzydzieści trzy lata robiłem to cholerne prawo, Piotrze, to chyba się na tym znam.

- Sąd wyznaczył jednak panią mecenas Milanową i panią mecenas Złotarową jako pańską obronę.

- Znowu kobiety! Powiedz im, żeby sobie nie zawracały głowy.

- Otrzymały polecenie, aby stawić się w sądzie i zastosują się.

- Zobaczymy. A co z twoim ojcem, Piotrze? Słyszałem, że niedobrze?

- Rak jest zaawansowany.

- Tak mi przykro. Uściskaj go ode mnie, kiedy się z nim zobaczysz.

- Wątpię.

Były prezydent patrzył na dłonie Solińskiego: były chude, z czarnym meszkiem na kłykciach; kościste, wysuszone czubki palców stuknęły nerwowo w szarą tekturę. Petkanow nie zamierzał schodzić z nieprzyjemnego tematu.

- Ależ, Piotrze, twój ojciec i ja byliśmy starymi towarzyszami. A przy okazji, jak tam jego pszczoły?

- Pszczoły?



- No przecież hodował pszczoły.

- Skoro już pan pyta, to też są chore. Wiele rodzi się bez skrzydeł.

Petkanow chrząknął krytycznie, jakby to był z ich strony przejaw ideologicznego odchylenia.

- Walczyliśmy razem przeciwko faszystom, twój ojciec i ja.

- Po czym pozbył się go pan, robiąc czystkę.

- Socjalizmu nie da się zbudować bez ofiar. Twój ojciec kiedyś to rozumiał. Zanim zaczął wywlekać na widok publiczny swoje sumienie, jakby to był jego kutas.

- To zdanie powinno być krótsze.

- Które zdanie?

- „Socjalizmu nie da się zbudować”. Tu powinien pan postawić kropkę.

- To jak, zamierzasz mnie powiesić? Czy wolisz pluton egzekucyjny? Muszę spytać szanowne panie mecenas, co postanowiono w tej kwestii. Czy może myślicie, że rzucę się z okna? To dlatego, póki nie przyjdzie stosowny moment, nie wolno mi do niego podchodzić?

Gdy Soliński nie odpowiedział, były prezydent ciężko usiadł naprzeciwko niego.

- Według którego prawa mnie oskarżacie, Piotrze? Mojego czy waszego?

- Pańskiego. Według pańskiej konstytucji.

- I cóż ja takiego zrobiłem przeciw swojej konstytucji?

- Ja osobiście znalazłbym wiele rzeczy. Kradzież. Sprzeniewierzenie państwowych pieniędzy. Nadużycia. Spekulacja. Przestępstwa walutowe. Współdział w morderstwie Symeona Popowa.

- Pierwsze słyszę. Myślałem, że zmarł na zawał serca.

- Współdział w torturach. Współdział w próbie ludobójstwa. Niezliczone ingerencje w funkcjonowanie systemu sprawiedliwości. Akt oskarżenia zostanie sporządzony w najbliższych dniach.

Petkanow chrząknął, jakby spodziewając się, że Soliński zaproponuje mu jakiś układ.

- Przynajmniej za gwałt mi się upiekło. Myślałem, że powodem demonstracji tych kobiet - zdaniem prokuratora generalnego Solińskiego - jest to, że zgwałciłem je wszystkie. A jak się okazuje, one protestują przeciwko temu, że w sklepach jest teraz mniej żywności niż kiedykolwiek za socjalizmu.

- Nie jestem tu po to - odparł ostro Soliński - żeby z panem omawiać nieuniknione trudności okresu przejściowego od gospodarki planowej do wolnorynkowej.

Petkanow zarechotał.

- Gratuluję, Piotrze. Serdecznie gratuluję.

- Czego?

- Tego zdania. Usłyszałem w nim głos twojego ojca. Jesteś pewien, że nie chcesz z powrotem przystąpić do naszej przemianowanej organizacji?

- Następnym razem porozmawiamy w sądzie.

Petkanow dalej rechotał, gdy prokurator zebrał swe papiery i wyszedł. Potem zbliżył się do młodego strażnika, który był obecny w trakcie całej rozmowy.

- Podobało ci się, chłopcze?

- Nic nie słyszałem - padła niezbyt wiarygodna odpowiedź.

- Porobiły się nieuniknione trudności okresu przejściowego od gospodarki planowej do wolnorynkowej - powtórzył były prezydent. - Czyli w sklepach nie ma nic do żarcia.

Zastrzeliliby go? Nie, chyba nie: są zbyt tchórzliwi. A raczej nie są na tyle głupi, żeby robić z niego męczennika. Lepiej go skompromitować. Ale on do tego nie dopuści. Proces będzie przebiegał według ich reguł, zrobią, co zechcą, będą kłamać, oszukiwać, preparować dowody, ale i on ma w zanadrzu parę sztuczek. Nie odegra przeznaczonej mu roli. Sporządził swój własny scenariusz.

Nicolae. Zastrzelili go. I to w Boże Narodzenie. Nie zrobili tego z zimną krwią, gonili jego tropem od pałacu jak psy, za helikopterem, za samochodem, potem postawili go przed „sądem ludowym”, śmiechu warte, uznali winnym zabójstwa 60 000 ludzi, zastrzelili go, zastrzelili go oboje, Nicolae i Elenę, tak po prostu, unieszkodliwić wampira, tak ktoś powiedział, unieszkodliwić wampira, nim zajdzie słońce i on znów nauczy się latać. O to właśnie chodziło, o strach. Zabił ich nie gniew ludu, czy jak to tam zwali w zachodnich mediach, tylko najzwyczajniejszy w świecie strach w portkach. Unieszkodliwić go,

szybko, myśmy Rumunia, wbić mu kołek w serce, unieszkodliwić go.

A potem prawie pierwsza rzecz, którą zrobili w Bukareszcie, to pokaz mody. Widział w telewizji, zdziwy z piersiami i nogami na wierzchu, jakaś projektantka naśmiewała się z garderoby Eleny, obwieściła wobec całego świata, jak to żona przywódcy miała „zły gust”, nabijała się z jej stylu jako „klasycznego folkloru”. Petkanow zapamiętał ten zwrot i sposób, w jaki został wypowiedziany. Oto, do czego doszliśmy, a raczej powróciliśmy, burżuazyjne dziwki mają czelność naśmiewać się z proletariackiego stroju. Do czego służy ubranie? Żeby nie zmarznąć i zakryć wulgarne części ciała. Zawsze dało się poznać, kiedy jakiś towarzysz zaraził się ideologicznym odchyleniem - jechał do Włoch po szykowny garnitur i wracał ubrany jak żigolak albo pederasta. Zupełnie jak towarzysz prokurator generalny Soliński po bratniej wizycie w Turynie. Tak, to bardzo interesująca historyjka. Cieszyło go, że ma pamięć do takich rzeczy.

Gorbaczow. Wystarczyło spojrzeć na otaczających go ludzi, żeby przewidzieć, co się święci. Ta jego napuszona żona z paryskimi sukniemi i kartą American Express, co stawiała z Nancy Reagan w konkury do tytułu najlepiej ubranej żony kapitalisty. Jeśli Gorbaczow nie umiał utrzymać w ryzach nawet własnej żony, to jaka była szansa, że powstrzyma nadchodzącą kontrrewolucję? Nie żeby chciał powstrzymać. Wystarczyło popatrzeć na żigolaków, z którymi podróżował, tych wszystkich doradców, specjalnych przedstawicieli i osobistych rzeczników, którzy nie mogli się doczekać podróży za granicę, żeby jakiś włoski krawiec na klęczkach wymierzał im

spodnie do garnituru. Ten rzecznik, jak mu tam było, ten, którego tak kochali kapitaliści, on miał bardzo szykowny garnitur. Ten, który powiedział, że doktryna Breżniewa jest martwa. Ten, który powiedział, że zastąpiła ją doktryna Sinatry.

To był drugi moment, kiedy zdał sobie sprawę, że wszystko się spieprzyło. Doktryna Sinatry. Poszedłem swoją własną drogą. Ale droga jest tylko jedna, tylko jedna naukowa droga marksizmu-leninizmu. Powiedzieć, że narodom Układu Warszawskiego wolno pójść swoją drogą, to to samo, co powiedzieć: komunizm już nas nie obchodzi, niech sobie wszystkich zabiorą amerykańscy bandyci, mamy to wszystko w dupie. I żeby tak to nazwać! Doktryna Sinatry. Wazeliniarstwo wobec Amerykanów. A kim był Sinatra? Jakimś makaroniarzem w szykownym garniturze, który całe życie zadawał się z mafią. Facetem, przed którym Nancy Reagan padała na kolana. Tak, wszystko się zgadza. Wszystko się zaczęło od Franka Sinatry, całe to świństwo. Sinatra rznął Nancy Reagan w Białym Domu, tak mówili, nie? Reagan nie umiał upilnować swojej żony. Nancy rywalizowała z Raisą na ubrania. Gorbaczow też nie umiał upilnować swojej żony. A rzecznik Gorbaczowa mówi, że będziemy postępować zgodnie z doktryną Sinatry. Doktryną Elvisa Presleya. Doktryną hamburgera McDonalda. Doktryną Myszki Miki i Kaczora Donalda.

Pracownicy Służby Bezpieczeństwa pokazali mu kiedyś dokument przesłany z sojuszniczego KGB. Był to raport FBI dotyczący bezpieczeństwa amerykańskiego prezydenta, kolejnych szczebli ochrony i tak dalej. Peskanow na zawsze zapamiętał jeden

szczegół: miejscem, gdzie prezydent Ameryki czuje się najbezpieczniej i które FBI uważa za najbezpieczniejsze, jest Disneyland. Żaden amerykański zamachowiec nie zdobyłby się na to, żeby go tam zastrzelić. Byłoby to świętokradztwem, bluźnierstwem przeciw wielkim bóstwom: Myszce Miki i Kaczorowi Donaldowi. Tak było napisane w raporcie FBI przekazanym przez KGB Służbie Bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby ta informacja mogła okazać się potrzebna. Dla Petkanowa potwierdzało to infantylność Amerykanów, którzy wkrótce zlecą się całą czeredą do kraju i wykupią go. Zapraszamy, wujku Samie, przyjedź i zbuduj sobie wielki Disneyland, gdzie twój prezydent będzie się czuł bezpiecznie, a ty posłuchasz sobie płyt Franka Sinatry i będziesz się z nas śmiał, że jesteśmy tępe chłopy, które nie umieją się ładnie ubrać.

Muszą być świadkowie, upierała się Wiera. Wszyscy razem we czwórkę: Wiera, Atanas, Stefan i Dymitr. Była to wielka chwila w historii ich kraju, pożegnanie z ponurym dzieciństwem i szarą, nerwową młodością. Nadszedł kres kłamstw i złudzeń; nadszedł czas dojrzałości, prawda stała się możliwa. Jakże mogliby nie wziąć w tym udziału?

Poza tym od początku byli razem, od tego niedawnego, a jednak odległego miesiąca, gdy zdarzenia następowały po sobie tak szybko, a oni mieli pretekst, by podrywać Wierę. Na pierwsze nieśmiałe demonstracje chodzili niepewni, jak dalece mogą sobie pozwolić. Patrzyli, maszerowali, krzyczeli, a wszystko robiło się coraz bardziej

poważne i nieprzyjemnie podniosłe. I przerażające: byli razem, kiedy przyjaciel Pawła został na pół zmiażdżony przez transporter opancerzony na alei Wyzwolenia, kiedy milicjanci stojący na straży pałacu prezydenckiego stracili panowanie nad sobą i zaczęli bić kobiety kolbami karabinów. Kilka razy uciekali przed strzałami, wystraszeni jak cholera, kryli się po bramach, zasłaniali Wierę własnym ciałem. Ale chodzili dalej i zaczęli się czuć, jakby popychali zżartą przez korniki starą bramę, która coraz łatwiej ustępuje, żołnierze uśmiechali się do nich i mrugali, prosili o papierosa. Już wkrótce wiedzieli, że są górą, bo na demonstracjach zaczęły się pokazywać nawet grube ryby z Partii Komunistycznej.

- Szczury opuszczają tonący okręt - skomentował Atanas. - Tchórze. - Był studentem filologii, pijusem i poetą, który twierdził, że jego sceptycyzm działa oczyszczająco na zarobaczywiałe dusze pozostałej trójki.

- Rodzaju ludzkiego nie da się oczyścić - powiedziała mu Wiera.

- Czemu nie?

- Zawsze znajdą się oportuniści. Trzeba tylko tak zrobić, żeby byli po twojej stronie.

- Nie chcę, żeby byli po mojej stronie.

- Oni się nie liczą, Atanasie, nie liczą się. Oni są tylko wskazówką, kto wygrywa.

A potem z dnia na dzień odszedł Stojko Petkanow. Nie udawano nawet, że jest chory czy robi miejsce dla następcy, Komitet Centralny po prostu wywiózł go do jego domu w regionie północno-wschodnim,

z pięcioosobową strażą dla ochrony. Jego czuły na każdą zmianę kierunku wiatru następca, Marinow, z początku próbował zapobiec rozpadowi partii i wziął na siebie rolę konserwatywnego reformatora, lecz po paru tygodniach różnice wewnątrzpartyjne stały się zbyt oczywiste. Wydarzenia zlały się w jedno jak szprychy roweru; co wczoraj było nieprawdopodobną pogłoską, dziś stawało się nieciekawym faktem. Partia Komunistyczna przegłosowała odrzucenie wiodącej roli, przemianowała się na Partię Socjalistyczną, wezwała do utworzenia Frontu Ocalenia Narodowego, do którego weszłyby wszystkie główne organizacje polityczne, a kiedy nic z tego nie wyszło, zaproponowała jak najszybsze wybory. Partie opozycyjne nie chciały stawać do wyborów, przynajmniej na razie, gdyż były jeszcze słabo zorganizowane, a socjaliści (byli komuniści) nadal mieli w swych rękach państwowe radio i telewizję. Opozycja musiała jednak zaryzykować i zdobyła wystarczającą liczbę foteli, by zepchnąć socjalistów (byłych komunistów) do obrony, choć socjaliści (byli komuniści) zachowali większość parlamentarną, czego komentatorzy zachodni zupełnie nie potrafili zrozumieć. Rząd nadal wzywał partie opozycyjne do wspólnego ratowania kraju, lecz partie opozycyjne powtarzały: nie, wyście zapieprzyli, wy zróbcie porządek, a jak nie umiecie, to ustąpcie. Zaczęły się połowiczne reformy, przepychanki, podchody, lęk, czarny rynek, rosące ceny, znowu połowiczne reformy, i nie było w tym nic heroicznego, przynajmniej nie tak, jak się niektórzy spodziewali, że jakiś waleczny huzar przetnie mieczem pęta niewoli, wszystko było na tyle heroiczne, na ile



heroiczna może być praca. Wiera powiedziała, że przypominało to powolne rozwieranie zaciśniętej przez pół wieku pięści, pięści dzierżącej złotą szyszkę. Wreszcie szyszkę wyłuskano i, choć zgnieciona i splamiona wieloletnim potem, w nowym kształcie była równie ważka i cenna.

Ostatnim etapem - końcem początku - był proces Petkanowa. Dlatego też Wiera naciskała, by wszyscy czworo bacznie go śledzili. Jeżeli nie dostaną się na salę sądową, będą oglądać proces w telewizji. Każdą minutę, symbolizującą nagłe przejście narodu od przymusowej małoletniości do spóźnionej dojrzałości.

- A co z prądem?

W tym był sęk. Co cztery godziny - no, chyba że co trzy, wyłączano prąd na godzinę - no, chyba że na dwie. Wyłączano systemem rotacyjnym, dzielnica po dzielnicy. Wiera mieszkała w tej samej strefie co Stefan, więc tu nie dało się nic zrobić. Atanas mieszkał o dobre dwadzieścia minut autobusem, za południowymi alejami. Dzielnica Dymitra była bliżej, kwadrans piechotą, osiem minut biegiem. Zaczynaliby oglądać u Stefana (a jak rodzice Stefana będą ich już mieli dość, to u Wiery), potem przeniosą się do Dymitra, a jak nie będzie innej możliwości, to pojedą autobusem do Atanasa.

Ale co będzie, jak wyłączą prąd w trakcie procesu, gdy prokurator rzuci wijącemu się Petkanowowi w twarz, że oszukiwał naród, kłamał, grabił, prześladował i mordował? Stracą prawie dziesięć minut transmisji po drodze do Dymitra. Albo nawet dwadzieścia minut po drodze do Atanasa.

- Czterdzieści - powiedział Atanas. - Benzyny brakuje, autobusy się psują, więc tyle trzeba dziś liczyć. Czterdzieści minut!

Rozwiązanie znalazł Stefan, inżynier. Każdego ranka Państwowe Zakłady Energetyczne publikowały grafik „przerw w dostawie prądu”, jak to oględnie określano, na następne trzydzieści sześć godzin. Plan przedstawiał się jak następuje. Powiedzmy, że oglądają u Wiery i o konkretnej godzinie mają włączyć prąd. Dwie osoby wyruszą do mieszkania Dymitra dziesięć czy piętnaście minut wcześniej. Dwie pozostałe będą oglądać aż do zgaśnięcia telewizora, a potem pójdą w ślady pierwszych dwóch osób. Po zakończeniu transmisji na dany dzień oba zespoły zdadzą sprawozdanie z tej części procesu, której drugi zespół nie widział.

- Mam nadzieję, że go powieszą - powiedział Dymitr w przeddzień procesu.

- Zastrzelą - wołał Atanas. - Ta-ta-ta-ta-ta.

- Mam nadzieję, że dowiemy się prawdy.

- Mam nadzieję, że pozwolą mi mówić - powiedział Stefan. - Że będą mi stawiać proste pytania, na które są proste odpowiedzi, a potem wysłuchają całej zaszrannej prawdy. Ile ukradłeś? Kiedy zamordowałeś Szymeona Popowa? Jaki jest numer twojego konta w banku szwajcarskim? Niech mu postawią takie pytania i czekają, aż on na żadne z nich nie odpowie.

- Chciałbym zobaczyć film z wnętrza jego pałaców - powiedział Dymitr. - I zdjęcia wszystkich jego kochanek.

- Nie wiemy, czy miał kochanki - odparła Wiera. - A poza tym

to nieważne.

- Chcę się dokładnie dowiedzieć, jak niebezpieczne są nasze elektrownie jądrowe - stwierdził Stefan.

- Chcę wiedzieć, czy udzielił osobistej zgody Urzędowi Bezpieczeństwa na próbę zamachu na Papieża - mówił Dymitr.

- Chcę zobaczyć jego egzekucję - odezwał się Atanas.

- Chcę się dowiedzieć, jakie przywileje miało Politbiuro - dodał Dymitr.

- Chcę wiedzieć, ile jesteśmy winni, każdy z nas - powiedział Stefan.

- Ta-ta-ta-ta-ta - bawił się Atanas - Ta-ta-ta-ta-ta.

Na tydzień przed rozpoczęciem w Sądzie Najwyższym Sprawy I z Ustawy Karnej, były prezydent Stojko Petkanow wysłał do Zgromadzenia Narodowego list otwarty. Zamierzał prowadzić energiczną kampanię obronną, zarówno wobec narodu, jak i wobec parlamentu, w telewizji i w prasie, dopóki pieniące się siły faszystowskie nie zakneblują mu ust. List brzmiał tak:

*Szanowni Deputowani,*

*Do wystosowania niniejszego listu zmusiły mnie pewne okoliczności. Okoliczności te budzą we mnie przekonanie, iż pewni ludzie pragną wykorzystać moją osobę dla swych partykularnych interesów politycznych i osobistych ambicji. Chcę oświadczyć, iż nie będę wodą na młyn żadnego ugrupowania politycznego.*

*O ile mi wiadomo, w czasach współczesnych osądzono i skazano tylko jedną głowę państwa: cesarza Bokassę w Afryce, który został stracony za zdradę stanu, morderstwa i ludożerstwo. Ja będę przypadkiem drugim.*

*Jeśli chodzi o moją osobistą odpowiedzialność, mogę powiedzieć już teraz, dokonawszy sumiennego i wszechstronnego rozliczenia z własnym życiem, że jako przywódca partyjny i głowa państwa przez 33 lata, ponoszę największą odpowiedzialność polityczną za wszystko, co działo się w tym kraju. Czy rzeczy dobre przewyższały liczebnie rzeczy złe, czy żyliśmy przez te wszystkie lata w mroku i beznadziei, czy matki rodziły dzieci, czy byliśmy spokojni czy stroskani, czy ludzie mieli jakieś cele i ideały - nie mam prawa sam tego teraz oceniać.*

*Odpowiedzi na te pytania może udzielić tylko nasz naród i historia. Jestem pewien, że okażą się surowymi sędziami. Jestem jednak przekonany, że będą także sędziami sprawiedliwymi, że kategorycznie odrzucą zarówno polityczny nihilizm, jak i skrajne potępienie.*

*Całe moje postępowanie umotywowane było dobrem mego kraju. Popełniłem wiele błędów, nie popełniłem wszakże żadnych zbrodni przeciw swojemu narodowi. Odpowiedzialność polityczną biorę na siebie tylko za błędy.*

*3 stycznia Pozostaję z szacunkiem*

*Stojo Petkanow*

Jak większość jego rówieśników, Piotr Soliński dorastał pod skrzydłem partii. Czerwony pionier, członek Związku Młodzieży Socjalistycznej, a następnie partii, legitymację otrzymał na krótko przed jedną z okresowych czystek Petkanowa, której ofiarą stał się jego ojciec, skazany na areszt domowy na prowincji kraju. Z początku padły między nimi gorzkie słowa, lecz Piotr w młodzieńczym zapale zrozumiał, że partia jest ważniejsza niż jednostka i że stosuje się to także do jego ojca. Sam Piotr naturalnie też znalazł się na jakiś czas na cenzurowanym. W tych mrocznych dniach przyznawał, że małżeństwo z córką bohatera walki z faszyzmem wiele mu ułatwiło. Powoli partia przywróciła go do łask; raz wysłała go nawet do Turynu z delegacją handlową. Otrzymał przydział waluty wraz z poleceniem, by go wykorzystać; czuł się uprzywilejowany. Maria, co rozumiała, nie mogła mu towarzyszyć.

W wieku czterdziestu lat mianowany został profesorem prawa na drugiej co do wielkości uczelni w stolicy. Mieszkanie na Osiedlu Przyjaźni III zdawało się wtedy szczytem luksusu; byli też posiadaczami małego samochodu i daczy w lasach Ostowy; ponadto mieli ograniczony, lecz regularny dostęp do wewnętrznej sieci sklepów. Ich córka Angelina była dzieckiem pogodnym i rozpieszczonym; pozwalała się rozpieszczać z ochotą. Czego brakowało takiemu pomysłowi na życie? Co zmieniło Solińskiego - jak to ujęła tego ranka „Prawda” - w dzisiejszego politycznego bratobójcę?

Rozmyślając nad tym stwierdził, że wszystko zaczęło się od Angeliny, która ciągle pytała „dlaczego?” Nie były to jednak dufne, rytualistyczne pytania czterolatki (dlaczego jest niedziela? dlaczego idziemy? dlaczego to jest taksówka?), lecz przemyślane, nieśmiałe pytania dziesięciolatki. Dlaczego jest tylu żołnierzy, skoro nie ma wojny? Dlaczego jest tyle drzew morelowych na wsi, a tak mało moreli w sklepach? Dlaczego latem jest w mieście mgła? Dlaczego na wysypisku za wschodnimi alejami mieszkają ci wszyscy ludzie? Pytania nie były niebezpieczne i Piotr nie miał problemu z odpowiedziami. Bo ktoś musi czuwać nad naszym bezpieczeństwem. Bo sprzedajemy je za granicę, gdyż potrzebujemy twardej waluty. Bo jest dużo fabryk, które pracują pełną parą. Bo Cyganie lubią tak żyć.

Angelinie odpowiedzi te wystarczały. I właśnie to było dla niego wstrząsem. Nie w tym rzecz, że istotne pytania niewinnego dziecka wzbudziły w nim wątpliwości. Poruszyła go bierna, beztroska akceptacja odpowiedzi, które były w najlepszym wypadku wiarygodną wymówką. Nocami nie mógł zasnąć, zamartwiał się w ciemności, a stan umysłu Angeliny oceniał jako symptomatyczny dla całego kraju. Czy naród może stracić zdolność do sceptycyzmu, nieufności? Czy miesiąc polemiczny martwieje nie używany?

Mniej więcej rok później Piotr Soliński przekonał się, że żywił przesadne obawy. Sceptycy i opozycjoniści istnieli, tyle że w jego obecności taktownie siedzieli cicho. Istnieli ludzie, którzy chcieli zacząć od początku, którzy woleli fakty od ideologii, którzy chcieli ustalić małe prawdy, zanim przejdą do większych. Kiedy Piotr zdał

sobie sprawę, że ludzi tych jest wystarczająco wiele, by wytrącić zaleknioną większość z marazmu, poczuł, jakby przed jego duszą rozwiała się zasłona mgły.

Wszystko zaczęło się w średniej wielkości mieście na północnej granicy z najbliższym sprzymierzonym krajem socjalistycznym. Państwa te oddziela rzeka, w której od lat nie łowiono ryb. Drzewa koło miasta rosły karłowate i poskręcane, rzadko wypuszczały liście. W przeważającej mierze północne wiatry toczyły zza rzeki tłuste, bure powietrze z innego średniej wielkości miast nadgranicznego w najbliższym sprzymierzonym kraju socjalistycznym. Dzieci od niemowlęstwa cierpiały na choroby klatki piersiowej; kobiety, idąc po zakupy, zawijały twarze w chustki; w poczekalniach przychodni tłoczyli się ludzie z przeżartymi płucami i piekącymi oczyma. Aż pewnego dnia grupa kobiet wysłała do stolicy list protestacyjny. A ponieważ najbardziej bratnie państwo socjalistyczne chwilowo wypadło z łask ze względu na niezbyt bratnie potraktowanie mniejszości narodowych, list do Ministerstwa Zdrowia przemienił się w krótką notatkę w „Prawdzie”, o której pozytywnie wypowiedział się następnego dnia pewien członek Politbiura.

Mały protest stał się więc lokalnym ruchem, z którego wyrosła Partia Zielonych. Aby móc się wykazać wobec Gorbaczowa liberalizmem, partii nie zdelegalizowano, mogła istnieć, lecz została ściśle poinstruowana, by trzymać się wyłącznie problemów ochrony środowiska, i to najlepiej tych, za które można obwinić najbardziej bratni kraj socjalistyczny. Po tym do nowego ruchu przystąpiło trzysta

tysięcy osób i zaczęło od korzeni ruszać system polityczny. Sekretarz miejski szepnął coś powiatowemu, ten koledze z Komitetu Centralnego, ten koledze z Politbiura i rzecz dochodziła do prezydenta, który czasem pozwalał sobie na kapryśne ustępstwa; zaczynało się od martwego drzewa, a kończyło na żywym planie pięcioletnim. Zanim Komitet Centralny zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa i oświadczył, że członkostwo w Zielonych nie licuje ze światopoglądem socjalistycznym, Piotr Soliński wraz z tysiącami jemu podobnych oddał starą legitymację partyjną na rzecz nowej. Było już zatem za późno na czystkę; za późno, by powstrzymać wzrost popularności Ilji Banowa, fotogenicznego byłego komunisty, który został przywódcą Zielonych; za późno, by uniknąć wyborów narzuconych krajom socjalistycznym przez Gorbaczowa; za późno, jak powiedział Stojko Petkanow na specjalnym posiedzeniu jedenastoosobowego Politbiura, żeby wszystko nie trzasnęło.

Według prywatnej opinii Marii Solińskiej - a coraz więcej opinii zachowywała dla siebie - Partia Zielonych była zlepkiem niedorozwiniętych leśników, chuligańskich anarchistów i faszystowskich szuj; Ilję Banowa powinno się trzydzieści lat wcześniej wysłać transportem lotniczym do frankistowskiej Hiszpanii; a jej mąż Piotr - który tak długo starał się o dobrą posadę i przyzwoite mieszkanie i który głównie dzięki niej przestał być utożsamiany ze swym ojcem odszczepieńcem - albo tracił resztki politycznego rozsądku, albo cierpiał na kryzys wieku średniego, a zapewne jedno i drugie.



Nie odzywała się, gdy znajomi szydzili z przekonań, które sami jeszcze kilka miesięcy wcześniej lojalnie wyznawali; dostrzegała radosny gniew tłumów, na każdej alei wyczuwała kwaśny odór zemsty. Stopniowo wycofywała się w świat swej córki. Czasami jej zazdrościła, że uczy się prostych i pewnych rzeczy, jak matematyka i muzyka. Nie mogła jednak przyłączyć się do niej, gdyż musiałaby uczyć się także nowych pewników politycznych, nowych ideologii, które natychmiast narzucono szkołom.

Mimo to w dniu rozpoczęcia Sprawy I z Ustawy Karnej, gdy jej mąż przyszedł się rano pożegnać, coś się w niej poruszyło i zapomniała o szybkich zdradach i powolnych rozczarowaniach ostatnich kilku lat. Maria Solińska odwzajemniła pocałunek i z czułą pedanterią, której już od dłuższego czasu nie okazywała, poprawiła mu szalik, wciśnięty byle jak za wyłogi płaszcza.

- Uważaj na siebie - powiedziała, gdy wychodził.

- Jasne, że będę uważał. Popatrz - powiedział, odłożywszy aktówkę i podniósłszy w górę dłonie - włożyłem rękawiczki na jeżozwierza.

Sprawa I rozpoczęła się w Sądzie Najwyższym dziesiątego stycznia. Były prezydent przyjechał pod eskortą wojskową: niska, krępa postać w zapiętym pod szyję prochowcu. Na nosie miał znajome grube okulary z lekko przydymionymi szklami, po wyjściu z czajki zdjął kapelusz, pozwalając gapiom popatrzeć jeszcze raz na głowę znaną z tak wielu znaczków pocztowych: nisko osadzona

czaszka, ostry, zadziorny nos, wyłysiałe czoło i sztywne, mysie włosy nad uszami. Pod sądem zgromadził się tłum, więc Petkanow uśmiechnął się i pomachał dłonią. Potem kamera straciła go z oczu, dopóki nie wszedł na salę sądową. Gdzieś po drodze zostawił kapelusz i płaszcz: występował teraz w skromnym garniturze prostego kroju, białej koszuli i zielonym krawacie w ukośne szare pasy. Zatrzymał się i rozejrzał wokół siebie jak piłkarz oceniający nieznany stadion. Już się wydawało, że ruszy przed siebie, lecz zmienił zdanie i podszedł do jednego ze strażników. Przez chwilę wpatrywał się w jego dystynkcje, a potem, jakby dopiero teraz zauważył, poprawił mu rogatywkę. Uśmiechnął się do siebie i poszedł dalej.

[*- O rany, ale zgrywa.*

*- Cii, Atanasie.]*

Sala sądowa była urządzona w stylu zmiękczonego brutalizmu z początku lat siedemdziesiątych: jasne drewno, wygładzone kąty, niemal wygodne krzesła. Mogła to być sala prób teatralnych lub mała sala koncertowa, gdzie gra się żwawe kwintety dęte, gdyby nie oświetlenie, mdła współpraca świetlówek i zakapturzonych blaszanych lamp wiszących. Oświetlenie nikogo nie faworyzowało, nie wyróżniało; efekt był jednolity, demokratyczny, sprawiedliwy.

Petkanow został pokazany przysięgłym. Postał chwilę przed ławą, patrząc na niewielką galerię dla publiczności i na podium, na którym miał zasiąść sędzia i dwóch ławników; przyjrzał się strażnikom, woźnym, kamerom telewizyjnym, napierającym dziennikarzom. Było ich tylu, że niektórych posadzono w ławie

przysięgłych, co wprawiło ich w zażenowanie: spuścili wzrok w swe puste notatniki.

Ostatecznie były prezydent usiadł na wyznaczonym mu drewnianym krześle. Z tyłu, a zatem zawsze w kadrze, gdy Petkanow był na wizji, stała zwykła funkcjonariuszka więzienna. O ten nieco teatralny akcent zadbała prokuratura. Wojsko miało się trzymać z dala od procesu. Bo widzicie, to tylko zwykła sprawa karna, przestępca został postawiony przed wymiarem sprawiedliwości. No i nie jest to już ten potwór, który budził w nas wszystkich strach, to tylko stary człowiek, którego pilnuje kobieta.

Wszedł sędzia i ławnicy: trzech starszych panów w ciemnych garniturach, białych koszulach i czarnych krawatach, przewodniczący dodatkowo w luźnej czarnej todze. Ogłoszono rozpoczęcie rozprawy, a prokurator generalny został poproszony o odczytanie aktu oskarżenia. Piotr Soliński, który już wcześniej wstał z miejsca, patrzył na Stoję Petkanowa i czekał, aż on również wstanie. Ale były prezydent siedział z przechyloną lekko na bok głową jak możnowładca w drogiej łoży, który czeka, aż kurtyna pójdzie w górę. Strażniczka pochyliła się ku niemu i powiedziała coś szeptem, ale udał, że nie słyszy.

Soliński nie zareagował na tę wystudiowaną bezczelność. Spokojnie, zwyczajnie zabrał się do wykonywania swych obowiązków. Najpierw wziął długi i głęboki wdech, starając się jednak, by nikt tego nie zauważył. Nauczono go, że kluczem do oratorstwa sądowego jest kontrolowanie pracy płuc. Tylko sportowcy,

śpiewacy operowi i prawnicy rozumieją doniosłość oddychania.

[ - *Dował mu, Soliński dowal mu!*

- *Cii.*]

- Stojo Petkanow. Sąd Najwyższy naszego kraju stawia panu następujące zarzuty: po pierwsze, fałszowanie dokumentów, z artykułu 127 (3) Kodeksu Karnego; po drugie, przekroczenie przysługujących panu kompetencji, z artykułu 212 (4) Kodeksu Karnego. I po trzecie...

[ - *Masowe morderstwa.*

- *Ludobójstwo.*

- *Zrujnowanie kraju.*]

...niedopełnienie obowiązku z artykułu 332 (8) Kodeksu Karnego.

[ - *Niedopełnienie obowiązku!*

- *Niedopełnienie obowiązku torturowania więźniów.*

- *Szlag trafił.*]

Czy przyznaje się pan do winy?

Petkanow ani odrobinę nie zmienił pozycji, tyle że teraz na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. Strażniczka pochyliła się ku niemu, ale ją powstrzymał, strzelając z palców.

Soliński zwrócił się o pomoc do przewodniczącego rozprawy, który powiedział:

- Oskarżony odpowie na pytanie. Czy przyznaje się pan do winy?

Petkanow przechylił jeszcze trochę głowę, nadal częstując ławę

sędziowską leniwie butnym spojrzeniem.

Przewodniczący spojrział w stronę obrony. Mecenasa Milanowa, smagła, surowa kobieta po trzydziestce, już stała.

- Obrona została poinstruowana, by nie ustosunkowywać się do aktu oskarżenia - oświadczyła.

Trzej sędziowie przeprowadzili krótką konsultację, po czym przewodniczący oświadczył:

- Zgodnie z artykułem 465 milczenie jest równoznaczne z nieprzyznaniem się do winy. Proszę kontynuować.

Soliński zaczął od nowa.

- Nazywa się pan Stojko Petkanow?

Były prezydent zdawał się rozważać pytanie przez kilka chwil. Potem, z lekkim chrząknięciem, jakby chciał dać do zrozumienia, że robi to z własnej woli, wstał z krzesła. Jako że dalej jednak nic nie mówił, prokurator generalny powtórzył:

- Nazywa się pan Stojko Petkanow?

Oskarżony nie zwracał uwagi na prokuratora w jego szykownym włoskim garniturze, lecz zwrócił się do przewodniczącego:

- Chciałbym złożyć oświadczenie.

- Proszę najpierw odpowiedzieć na pytanie pana prokuratora.

Drugi przywódca spojrział na Solińskiego jakby go dopiero teraz zauważył, zachęcając go jak uczniaka do powtórzenia pytania.

- Nazywa się pan Stojko Petkanow?

- Wiesz, jak się nazywam. Walczyłem z twoim ojcem przeciwko faszystom. Wysłałem cię do Włoch, żebyś sobie kupił garnitur.

Zatwierdziłem twoją nominację na profesora prawa. Dobrze wiesz, kim jestem. Chcę złożyć oświadczenie.

- Proszę, ale krótko - odparł przewodniczący.

Petkanow skinął do siebie głową, przyjmując do wiadomości, lecz zarazem ignorując polecenie. Rozejrzał się po sali sądowej, jakby się dopiero teraz zorientował, gdzie jest, nasunął okulary głębiej na nos, oparł zwinięte w pięść dłonie na obitej pluszem barierce i spytał tonem osoby, która jest przyzwyczajona do lepszej organizacji uroczystości publicznych:

- Na której jestem kamerze?

*[- Ja pieprzę, ale skurwiel.*

*- To nie przejdzie, Stajo, to już więcej nie przejdzie.*

*- Żeby tak zdechł na oczach wszystkich. Na żywo w telewizji.*

*- Uspokój się, Atanasie. Całkiem ci odbije, jak się będziesz tak pienił.]*

- Słuchamy pańskiego oświadczenia.

Petkanow znów skinął głową, ale raczej do własnych myśli.

- Nie uznaję tego sądu. Ten sąd nie ma prawa mnie sądzić. Zostałem nielegalnie zatrzymany, byłem nielegalnie aresztowany i przesłuchiwany, a teraz stoję przed sądem, który został nielegalnie ukonstytuowany. Jednakże... - tu pozwolił sobie na krótką przerwę i szybki uśmiech, wiedząc, że to „Jednakże” zamknęło usta sędziemu, który chciał mu przerwać. - ...Jednakże odpowiem na wszystkie pytania, pod warunkiem, że będą do rzeczy.

Znów przerwał, a prokurator generalny nie miał pewności, czy

to już koniec wystąpienia.

- Odpowiem na wasze pytania z prostego powodu. Jestem tu nie po raz pierwszy. Oczywiście nie na tej samej sali sądowej. Znalazłem się przed sądem ponad pięćdziesiąt lat temu, na długo zanim stanąłem u steru narodu. Wraz z innymi towarzyszami organizowaliśmy pomoc dla bojowników z faszyzmem z Velpen. Protestowaliśmy przeciwko wtrąceniu do więzienia robotników kolejowych. Był to pokojowy, demokratyczny protest, lecz oczywiście zostaliśmy zaatakowani przez burżuazyjno-obszarniczą policję. Pobito mnie, podobnie jak wszystkich innych towarzyszy. W więzieniu zastanawialiśmy się, co mamy dalej zrobić. Niektórzy towarzysze mówili, żeby odmówić odpowiedzi na pytania sądu, jako że zostaliśmy nielegalnie aresztowani, a dowody przeciwko nam zostały sfabrykowane przez policję. Lecz ja przekonałem ich, iż ważniejsze jest, aby ostrzec naród przed faszystowskim zagrożeniem i przygotowaniem imperialistów do wojny. I tak właśnie uczyniliśmy. Jak wam wiadomo, za to, iż stanęliśmy w obronie proletariatu, skazano nas na ciężkie roboty.

- A teraz - kontynuował - patrzę wokół siebie i nie jestem zaskoczony. Jestem tu nie po raz pierwszy. Dlatego też, powtarzam, zgadzam się odpowiedzieć na wasze pytania, pod warunkiem, że będą do rzeczy.

- Nazywa się pan Stojó Petkanow? - powtórzył prokurator ze znużonym naciskiem, jakby chciał się usprawiedliwić, że prawo każe mu stawiać każde pytanie w czterech egzemplarzach.

- Owszem, zdawało mi się, że już to ustaliliśmy.

- Skoro nazywa się pan Stojko Petkanow, jest panu wiadomo, że wyrokiem sądu w Velpen 21 października 1935 skazany pan został za niszczenie mienia publicznego, kradzież żelaznej barierki i zbrodniczą napaść ze skradzionym obiektem w dłoni na przedstawiciela służb porządku publicznego.

Kiedy kamera ponownie pokazała Petkanowa, Atanas głęboko zaciągnął się papierosem, po czym wypuścił dym przez wąską szczelinę w wydętych ustach. Dym uderzył w ekran, rozprysnął się i opadł. To lepsze niż plucie. Pluję ci w twarz dymem.

Piotr Soliński nie był pierwszym kandydatem wysuniętym na stanowisko prokuratora generalnego. Jego doświadczenie było przede wszystkim akademickie i tylko częściowo dotyczyło prawa karnego. Jednak już po pierwszej rozmowie kwalifikacyjnej wiedział, że dobrze mu poszło. Inni kandydaci, o lepszych kwalifikacjach, bawili się w politykowanie, stawiali warunki; jeszcze inni, porozumiewszy się z rodziną, informowali, że mają wcześniejsze zobowiązania. Soliński nie wahał się ani przez chwilę; przyszedł z konkretnymi pomysłami co do aktu oskarżenia; oświadczył nawet odważnie, że jego dwuletnie członkostwo w partii może się przydać do uśpienia czujności Petkanowa. Na wilka pošlij lisa, zacytował, na co minister uśmiechnął się. W tym szczupłym profesorze o niespokojnych oczach dostrzegał pragmatyzm i gwałtowność, które wydawały mu się niezbędnymi cechami prokuratora generalnego.

Nominacja nie stanowiła dla Piotra niespodzianki. Gdy spojrzął



wstecz na swe życie, zauważył, że po długich okresach wahania przychodziły chwile stanowczości, a nawet brawury, w których zawsze osiągał to, czego chciał. Był posłusznym dzieckiem, dobrym uczniem; posłuszeństwo wobec rodziców zaowocowało nawet zaręczynami z córką sąsiadów w dwudzieste urodziny. Trzy miesiące później rzucił ją dla Marii i natychmiast chciał wziąć ślub; ta nagła chęć do żeniaczki skłoniła rodziców do bacznej obserwacji brzucha dziewczyny. Byli bardzo zaskoczeni, gdy przez następne kilka miesięcy ich podejrzenia nie potwierdziły się.

Potem przez wiele lat był wiernym członkiem partii i dobrym mężem - czy też może dobrym członkiem partii i wiernym mężem. Czasem obie te funkcje zlewały mu się w jedno. Aż tu pewnego wieczora oświadczył, że wstąpił do Partii Zielonych, i to w okresie, gdy - jak zjadliwie zauważyła Maria - należało do niej bardzo niewielu profesorów prawa poślubionych córom bohaterów walki z faszyzmem. Co gorsza, Piotr nie poszedł potajemnie na kilka zebrań Partii Zielonych, tylko odesłał legitymację partyjną, dołączając jawnie prowokacyjny list, który kilka lat wcześniej sprowadziłby pod drzwi mieszkania ludzi w skórzanych płaszczach, i to o pogańskiej porze.

Zdaniem żony znowu schlebiał swej próżności. Jego koledzy po fachu uznali nominację Solińskiego za godny pozazdrosczenia awans, który ujawnił w uprzejmym i zamkniętym w sobie prawniku tajoną skłonność do gwiazdorstwa telewizyjnego. Ludzie ci błędnie jednak zakładali, że życie wewnętrzne Solińskiego jest równie starannie uporządkowane jak jego kariera. Tymczasem on nieustannie

przechodził stany niepokoju o różnym stopniu natężenia, a okresowe przyływy zdecydowania tłumiły tylko skłębione w nim lęki i rozterki. Jeżeli narody mogą zachowywać się jak jednostki, on był jednostką, która zachowuje się jak naród: po całych dziesięcioleciach znerwicowanego poddaństwa porwał się do buntu, pragnąc świeżej retoryki i odnowionego wizerunku samego siebie.

Występując w roli oskarżyciela byłej głowy państwa, Soliński rozpoczął na oczach widzów proces kształtowania swej własnej tożsamości. Dla publicystów prasowych i komentatorów telewizyjnych był ucieleśnieniem nowego porządku przeciw starymu, przyszłości przeciw przeszłości, dobra przeciw złu; kiedy przemawiał do mediów, zwyczajowo odwoływał się do świadomości narodowej, obowiązku moralnego, do swego celu, by wyszarpnąć prawdę jak miecz spomiędzy kłów kłamstwa. W tle leżały jednak uczucia, którym nie miał odwagi bliżej się przyjrzeć. Uczucia te związane były z czystością, i to bardziej w sensie psychicznym niż symbolicznym; ze świadomością, że jego ojciec umiera; z pragnieniem dojrzałości, która nie nadeszła z upływem czasu.

Posada prokuratora generalnego stanęła otworem dopiero po szerokiej debacie publicznej. Wiele osób opowiadało się przeciw procesowi. Czy nie lepiej powiedzieć sobie, co było to było, i skupić energię na odbudowie? Jest to o tyle rozsądniejsze, że nikt nie może twierdzić, iż jedynym winowajcą w całym kraju jest Petkanow. A na jakim szczeblu nomenklatury, struktur partyjnych, służby bezpieczeństwa, milicji, płatnych donosicieli, władz lokalnych i

wojskowych kończy się wina? Jeśli ma być sprawiedliwość, mówili niektórzy, to niech będzie pełna sprawiedliwość, porządne rozliczenie, gdyż ukaranie wybranych, a zwłaszcza jednej osoby, jest oczywistą niesprawiedliwością. W jakim stopniu jednak „pełna sprawiedliwość” różni się od zemsty?

Inni żądali tak zwanego procesu moralnego, ale jeszcze żaden naród w całej historii świata czegoś takiego nie przeprowadzał, więc nie było jasne, na czym ten proces miałby polegać ani jaki miałby być materiał dowodowy. Poza tym kto ma prawo osądzać innych moralnie, czy przyznanie sobie takiego prawa nie jest przejawem zatrwającej pychy? Jediną osobą władną przewodniczyć procesowi moralnemu jest Bóg. Ludzie lepiej niech się zajmą problemem, co kto komu ukradł. Żadne rozwiązanie nie było doskonałe, ale najbardziej niedoskonała była bezczynność, i to bezczynność bardzo ślamazarna. Trzeba natychmiast coś zrobić. Specjalna komisja parlamentarna powołała zatem specjalne biuro śledcze, przy założeniu, że o ile wszelkie dochodzenia mają być przeprowadzone z jeszcze większą niż zazwyczaj skrupulatnością i rzetelnością, o tyle sprawa przeciw Stojko Petkanowowi musi zostać wytoczona do stycznia. Podkreślano również konieczność ścisłego przestrzegania procedur sądowych. Minęły już dni ogólnikowych oskarżeń, na podstawie których każde źle widziane przez państwo postępowanie mogło zostać ukarane. Specjalny Urząd Śledczy został poinstruowany, aby dokładnie ustalić, w jaki sposób Petkanow przekroczył ustanowione przez siebie prawa, aby zebrać wiarygodne dowody, a następnie sporządzić akt

oskarżenia. Było to odwrócenie tradycyjnego postępowania sądowego.

Urząd Śledczy stwierdził, że znalezienie jakichkolwiek bezpośrednich dowodów jest trudne. Bardzo niewiele działań partii zostało udokumentowanych; sporządzone akta w większości zniszczono, a ci, którzy je zniszczyli, zgodnie cierpieli na ataki utraty pamięci. Szerszy problem wynikał z monolitycznej natury upadłego niedawno państwa. Artykuł I nowej konstytucji z 1971 roku wprowadzał kierowniczą rolę partii. Od tej chwili partia i państwo stopiły się w jedno, toteż wyraźny rozdział pomiędzy polityką a ustawodawstwem przestał istnieć. Cokolwiek uznano za politycznie konieczne, było też z definicji zgodne z prawem.

Coraz mocniej naciskany Urząd Śledczy znalazł wreszcie wystarczająco dużo dowodów, by zalecić sformułowanie trzech zarzutów. Pierwszy, oszustwo rachunkowe, dotyczył pobierania nienależnych honorariów za publikacje i przemowy byłego prezydenta. Drugi, przekroczenie kompetencji urzędowych, obejmował szeroką gamę przywilejów, których jakoby udzielał i z których korzystał były prezydent, co zarazem uwidoczniałoby rozmiary korupcji w ustroju komunistycznym. Trzeci, niegospodarność, dotyczył zapłaty nienależnego zasiłku dla byłego przewodniczącego Komisji Ochrony Środowiska. Trzeci zarzut był trochę niewygodny, gdyż biorca zasiłku żył teraz anonimowo w bardzo kiepskim stanie zdrowia; uznano jednak, że dwa zarzuty to zbyt mało w tak historycznym procesie. Okoliczności sprawy były wyjątkowe, tak

więc Urząd Śledczy zalecił, by oskarżeniu wolno było wprowadzać nowy materiał dowodowy w trakcie procesu, jak również formułować nowe zarzuty wraz z postępowaniem rozprawy. Wbrew licznym głosom krytycznym, zalecenia te przyjęto.

Petkanow odmówił współpracy z mecenas Milanową i mecenas Złotarową, wobec czego postanowiono, że zwyczajowe reguły grzecznościowe dotyczące stosunków między obroną a oskarżeniem należy rozciągnąć także na oskarżonego. Kiedy ogłoszono przerwę w rozprawie, Piotr Soliński poszedł zatem na szóste piętro ministerstwa sprawiedliwości (dawnego urzędu bezpieczeństwa) i zabrał ze sobą dokumenty, do których obrona miała prawo wglądu. Podczas drugiego w tym dniu spotkania były prezydent zdawał się bardziej rozluźniony, co nie znaczy, że uprzejmiejszy.

Każdego dnia rano funkcjonariusz przynosił Stojko Petkanowowi pięć dzienników krajowych i kładł je na stole. Każdego dnia rano Petkanow wyłuskiwał ze stosu gazet „Prawdę”, organ Partii Socjalistycznej (dawniej Komunistycznej), a „Naród”. „Gazetę Narodową”, „Wolność” i „Czas Wolności” zostawiał nietknięte.

- Nie interesuje pana, co diabeł ma do powiedzenia? - spytał żartobliwie Soliński pewnego popołudnia, gdy znalazł Petkanowa ślęczącego nad partyjną dobrą nowiną.

- Diabeł?

- Dziennikarze naszej wolnej prasy.

- Wolnej, wolnej. Robisz z tego słowa fetysz. Staje ci od tego?

Wolność, wolność, rusza ci się w majtkach, Soliński?

- Nie jesteśmy w sądzie. Nikt nas nie widzi. Tylko udający głuchoniemego strażnik.

- Wolność - powiedział Petkanow z naciskiem - polega na poddawaniu się woli większości.

Z początku Soliński nie odpowiedział. Już wcześniej słyszał to zdanie i przeraziło go. Wreszcie wykrztusił:

- Naprawdę pan w to wierzy?

- Wszystko inne, co nazywacie wolnością, to tylko przywileje elit społecznych.

- Jak specjalne sklepy dla członków partii? Czy oni też się poddawali woli większości?

Petkanow cisnął gazetą o stół.

- Dziennikarze to kurwy. Wolę swoje własne kurwy.

Dla prokuratora generalnego utarczki te były męczące, lecz pożyteczne. Musi poznać swego przeciwnika, wyczuć go, nauczyć się przewidywać jego kaprysy. Ciągnął zatem cierpliwym tonem:

- Wie pan, są kurwy i kurwiszony. Powinien pan poczytać relacje „Czasu Wolności” ze swojego procesu. Nie są wcale takie jednoznaczne.

- Równie dobrze mógłbym wylać sobie na głowę wiadro pomyj.

- Pan nie chce zrozumieć, prawda?

- Nie masz pojęcia, Soliński, jak mnie męczy ta dyskusja. Rozważaliśmy to wszystko dziesiątki lat temu i doszliśmy do słusznych wniosków. Nawet twój ojciec się z nimi zgodził, choć trzeba mu je było wbijać do głowy przez kilka miesięcy. Czy

przekazałeś mu ode mnie gorące pozdrowienia?

- Termin „wolna prasa” nic dla pana nie znaczy, prawda?

Petkanow westchnął melodramatycznie, jakby prokurator generalny próbował go przekonać, że ziemia jest płaska.

- To sprzeczność. Za każdą gazetą stoi jakaś grupa społeczna, czyjeś interesy. Albo kapitalistów, albo ludu. Jestem zaskoczony, że tego nie zauważyłeś.

- Właścicielami niektórych gazet są dziennikarze, którzy w nich piszą.

- Wtedy grupa społeczna, którą reprezentują, jest najgorsza ze wszystkich - partia egoizmu. Czysty przejaw indywidualizmu burżuazyjnego.

- Może być dla pana zaskoczeniem, ale są nawet dziennikarze, którzy zmieniają poglądy w pewnych sprawach, którzy mają prawo do samodzielnego myślenia, nieustannego analizowania osiągniętych wniosków i zmieniania opinii.

- Czyli kurwy, na których nie można polegać - powiedział Petkanow. - Kurwy histeryczne.

Odbyła się rewolucja, co do tego nikt nie miał wątpliwości; ale samego słowa nigdy nie używano, nawet w złagodzonej formie, z dodaniem określeń: „aksamitna”, czy „bezkrwawa”. Naród miał silną świadomość historii, ale znużony był retoryką. Zamiast o rewolucji ludzie mówili więc o przemianach i historia podzielona była na trzy spokojne epoki: przed przemianami, podczas przemian, po

przemianach. Z historii wyłania się teki oto schemat: reformacja, kontrreformacja, rewolucja, kontrrewolucja, faszyzm, antyfaszyzm, komunizm, antykomunizm. Wielkie ruchy historyczne, jakby rządzone jakimś prawem fizyki, zdawały się wywoływać równie potężną siłą o przeciwstawnym działaniu. Ludzie mówili zatem ostrożnie o przemianach i dzięki temu wybiegowi czuli się trochę bezpieczniej: trudno sobie wyobrazić coś, co nazywa się kontrprzemiany czy antyprzemiany, więc może rzeczywistość dostosuje się do nazewnictwa. Tymczasem powoli i dyskretnie w całym mieście znikaly pomniki. Wywózki zdarzały się oczywiście już niej. Pewnego roku, za podszeptem Moskwy, usunięto spiżowe Staliny. Zdejmowano je z cokołów nocą i wywożono na pas nieużytków blisko stacji rozrządu w centrum, gdzie stały oparte o wysoki mur, jakby czekały na pluton egzekucyjny. Przez kilka tygodni pełniło przy nich wartę dwóch policjantów, aż wreszcie stało się jasne, że lud nie żywi pragnienia, by zbeczcześć posągi. Ogrodzono je zatem drutem kolczastym i pozostawiono samym sobie, w całonocnym huku i jazgocie pociągów towarowych. Każdej wiosny pokrzywy podrastały nieco, a powój wypuszczał nową odnóżkę po obutej w oficerki nodze bohatera wojennego. Na któryś z mniejszych pomników wspinał się niekiedy intruz z młotkiem i dłutem, aby zdobyć na pamiątkę pół węża, lecz zawsze zawodziły albo pijane ręce, albo dłuto. Posągi trwały koło stacji rozrządu, błyszczące w deszczu i niewyciężone jak pamięć.

Teraz Stalinowi przybyło towarzystwo. Breżniew, który już za



życia przybierał spiżowe i granitowe pozy, teraz szczęśliwie kontynuował swe istnienie jako posąg. Był też Lenin, w robociarskiej czapce na głowie, ze wzniesionym porywająco ramieniem i palcem zaciśniętym na świętej księdze. Tuż koło niego znalazł się pierwszy przywódca narodu, który w wiekuistym geście politycznego poddaństwa zadowolił się wzrostem o metr niższym niż giganci Rosji Radzieckiej. A teraz doszedł Stojko Petkanow w rozmaitych wersjach: jako dowódca partyzantów w sandałach ze świńskiej skóry i chłopskiej koszuli to jako zwierzchnik sił zbrojnych w stalinowskich oficerkach i z naszywkami generała; jako wielkiej rangi mąż stanu w ogromnym dwurzędowym garniturze z Orderem Lenina w klapie. Ta zwarta, doborowa kompania (późniejsi członkowie nieco zmaltretowani przez bezwzględny dźwig) trzymała się razem na tym wiekuistym wygnaniu i milcząco dyskutowała o polityce.

Niedawno zaczęto mówić, że dołączy do nich Alosza, ten Alosza, który stał na niewielkim wzgórzu w północnej części miasta przez niemal cztery dziesięciolecia i sojuszniczo błyskał bagnetem. Był to dar od narodu radzieckiego; teraz powstał ruch na rzecz zwrotu prezentu ofiarodawcom. Niech sobie jedzie do Kijowa, Kalinina czy gdzie tam; na pewno tęskni już za domem, a jego wielkiej spiżowej mamie bardzo go brakuje.

Symboliczne gesty mogą być jednak kosztowne. Nie potrzeba było dużo środków, żeby po kryjomu wynieść zabalsamowanego pierwszego przywódcę z mauzoleum pewnej zapomnianej nocy, kiedy paliła się tylko jedna latarnia uliczna na sześć. Ale repatriacja Aloszy?

To będzie kosztowało tysiące dolarów amerykańskich, które lepiej przeznaczyć na zakup ropy albo remont ciekącego reaktora w regionie wschodnim. Niektórzy ludzie opowiadali się za łagodniejszą, lokalną formą wygnania. Wywieźć go na stację rozrządu, niech dołączy do swych spizowych panów. Będzie się tam ponad nich wynosił jako największy pomnik w kraju; jego przybycie utrże nosa próżnym przywódcom i będzie to forma drobnego, niedrogiego rewanzu.

Inni uważali, że Aloszę należy zostawić na wzgórzu. Jest przecież niezaprzeczalnym faktem, że armia sowiecka, wyzwoliła kraj od faszystów i że wielu żołnierzy sowieckich właśnie tu poniosło śmierć i zostało pochowanych; faktem jest także to, że przez jakiś czas wielu ludzi żywiło wdzięczność do Aloszy i jego towarzyszy. Czemu go zatem stamtąd usuwać? Człowiek nie musi się zgadzać z ideologią każdego pomnika. Nikt nie zniszczyłby piramid w odwecie za cierpienia niewolników egipskich.

Pewnego rana, o w pół do dziesiątej, Piotr Soliński stał przy biurku w swym gabinecie i przesłuchiwał oddaloną o cztery i pół metra szafę biblioteczną. Tak przygotowywał się do każdego wystąpienia. Właśnie zadawał pytanie, które stanowiło lekkie naciągnięcie procedury sądowej, gdyż jego celem nie było uzyskanie informacji, lecz postawienie pewnej hipotezy, zawierającej moralne napiętnowanie, kiedy irytująco dzwiczący telefon zaanonsował gościa. Soliński przeprosił szafę biblioteczną, która pocila się i

ocierała brew w poczuciu winy, po czym skierował uwagę na Georgi Ganina, zwierzchnika Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju (dawniej Armia Ludowa).

Obecnie Ganin nosił garnitur, dla pokazania, że jest dobrodusznym cywilem, lecz tego samego dnia zaledwie dwa lata wcześniej, gdy stał się znaną postacią, jego otyły korpus wbity był w mundur porucznika, a z pagonów wynikało, że jest członkiem sztabu Północno-Zachodniego Okręgu Wojskowego. Został wówczas wysłany z dwudziestoma żołnierzami, aby opanować rzekomo mało groźną demonstrację w stolicy prowincji Sliven.

Rzeczywiście ludzi zgromadziło się niewiele: trzystu miejscowych Zielonych i opozycjonistów na pochyłym brukowanym rynku, tupiących nogami i klaskających w dłonie nie tylko w formie protestu, ale i z zimna. Przed komitetem partii wyrosła spora pryzma brudnego śniegu, która w normalnych warunkach stanowiłaby wystarczającą barierę. Warunki jednak nie były normalne, a to wskutek dwóch czynników. Pierwszym z nich była obecność członków Komanda Dziewińskiego, organizacji studenckiej, która nie dostała się jeszcze do kartotek UB. Nie było to wcale zaskakujące, gdyż coraz trudniej udawało się zebrać informacje o działalności studentów. Poza tym komandosi Dziewińskiego zarejestrowani byli jako stowarzyszenie literackie, a nazwa upamiętniała regionalnego poetę Iwana Dziewińskiego, który - mimo wcześniejszych dekadencjkich i formalistycznych odchyłeń - podczas inwazji faszystów w 1941 roku okazał się patriotą i męczennikiem. Drugim

czynnikiem była przypadkowa obecność szwedzkiej ekipy telewizyjnej, której poprzedniego dnia zepsuł się wypożyczony na miejscu samochód, więc nie zostało im nic innego, jak sfilmować zwyczajowy prowincjonalny protest.

Gdyby Urząd Bezpieczeństwa zainteresował się komandosami Dziewińskiego, odkryto by, że poeta cieszył się reputacją ironisty i twórcy prowokacyjnego oraz że jego „wiernopoddańczy sonet” z 1929 roku, zatytułowany *Dziękujemy, Wasza Wysokość*, został nagrodzony trzyletnim wygnaniem z kraju do Paryża. Członkowie studenckiego Komanda nosili na głowach czerwone berety zuchów, albo groteskowo porozciągane, albo łobuzersko przypięte do czubka włosów klipsem pożyczonym od sympatii. Inni demonstranci, podobnie jak służba bezpieczeństwa, nigdy nie słyszeli o komandosach Dziewińskiego, toteż rozdrażniła ich grupa wyglądająca na komunistycznych prowokatorów. Ich podejrzania potwierdziły się, gdy „dziewińczycy” rozwinęli transparent z napisem: MY, PRAWORZĄDNI STUDENCI, ROBOTNICY I CHŁOPI, WYRAŻAMY NASZE POPARCIE DLA RZĄDU.

Przepchnąwszy się na czoło demonstracji, komandosi zajęli pozycje blisko wału śnieżnego i zaczęli skandować: „NIECH ŻYJE PARTIA. NIECH ŻYJE RZĄD. NIECH ŻYJE PARTIA. NIECH ŻYJE RZĄD. CZEŚĆ I CHWAŁA STOJO PETKANOWOWI. NIECH ŻYJE PARTIA”.

Po paru minutach otworzyły się długie szklane drzwi balkonu i wyłonił się miejscowy komisarz partyjny, aby nacieszyć się rzadkim

w tych kontrewolucyjnych czasach wyrazem poparcia społecznego. Studenci natychmiast rozszerzyli repertuar haseł. Z wzniesionymi w patriotycznym geście pięściami i beretami tworzącymi czerwoną falangę, wysławiali uśmiechniętego udzielnego władcę Sliven:

DZIĘKUJEMY ZA PODWYŻKI CEN”.

DZIĘKUJEMY ZA BRAKI RYNKOWE”.

CHCEMY IDEOLOGII NIE CHLEBA”.

Studenci byli zgrani i dysponowali mocnymi głosami. Ich pięści bezlitośnie tłukły powietrze, a hasła dobywały się z gardeł bez wahania:

„DZIĘKUJEMY ZA PODWYŻKI CEN”.

„UMOCNIĆ SIŁY PORZĄDKOWE”.

„NIECH ŻYJE PARTIA”.

„CZEŚĆ I CHWAŁA STOJO PETKANOWOWI”.

„DZIĘKUJEMY ZA BRAKI RYNKOWE”.

„CHCEMY IDEOLOGII NIE CHLEBA”.

Nagle, jakby w wyniku niemego głosowania, reszta tłumu przyłączyła się do skandujących. „DZIĘKUJEMY ZA BRAKI RYNKOWE” poniosło się wściekłym echem po całym placu. Komisarz partyjny z hukiem zamknął drzwi balkonu, a w zachowanie demonstrantów wkradła się histeria - bardzo, jak wiedział Ganin,

niebezpieczna. Jego ludzie stali w szyku z boku komitetu i teraz na nich skupiła się uwaga komandosów Dziwińskiego. Oddział studencki trzykrotnie przemieszczał się ku żołnierzom, krzycząc:

„DZIĘKUJEMY ZA KULE”.

„DZIĘKUJEMY ZA MARTYROLOGIĘ”.

„DZIĘKUJEMY ZA KULE”.

„DZIĘKUJEMY ZA MARTYROLOGIĘ”.

Zieloni i opozycjoniści najwyraźniej nie mieli ochoty podchwycić tych haseł. Czekali, aż komandosi powrócą do szeregów, aby jeszcze raz wspólnie wystąpić o braki rynkowe i podwyżki cen. Ekipa telewizyjna zdążyła się już odpowiednio ustawić i kamera poszła w ruch.

Ganin otrzymał rozkaz od nie znanego mu człowieka w skórzanym płaszczu, który stanął w bocznych drzwiach komitetu, podał swe nazwisko i rangę, po czym przekazał mu służbowe polecenie komisarza, by otworzyć ogień nad głowami demonstrantów, a jeśli to nie pomoże, zacząć strzelać w nogi. Przekazawszy polecenie, człowiek ten zniknął z powrotem w budynku, lecz studenci zdążyli go zauważyć.

„CHCEMY WSTĄPIĆ DO UB”, wrzeszczeli, a potem:  
„DZIĘKUJEMY ZA KULE. CHCEMY WSTĄPIĆ DO UB”.

Ganin przemieścił swój oddział dwadzieścia metrów naprzód. Komando wyszło żołnierzom na spotkanie. Wydając polecenie

wymierzenia karabinów ponad głowami demonstrantów, Ganin starał się robić wrażenie niewzruszonego, lecz kilka spraw go zaniepokoiło. Po pierwsze, czy na pewno komisarz weźmie na siebie odpowiedzialność. Po drugie, czy jakiś maniak nie opuści nieco celownika. Po trzecie, czy starczy amunicji, której każdy żołnierz miał tylko jeden magazynek. Okrzyk „DZIĘKUJEMY ZA BRAKI RYNKOWE” miał swój wydźwięk także dla armii.

Ganin zatrzymał swych ludzi ruchem dłoni i podszedł do komandosów. Jednocześnie od grupy studentów odłączył się młody człowiek z dwoma beretami zuchowymi na głowie, po jednym nad każdym uchem. Telewizja szwedzka uchwyciła to decydujące spotkanie przywódców: brodatego studenta w wielkich czerwonych nausznikach i krągłego, rumianolicego oficera armii, którego oddech zamieniał się w mroźnym powietrzu w parę. Operator odważnie podszedł bliżej, lecz dźwiękowiec nagle przypomniał sobie o swej rodzinie w Karlsztadzie. Ta chwila ostrożności szwedzkiego pracownika technicznego bardzo się młodemu porucznikowi przysłużyła. Gdyby rozmowa, która nastąpiła, została zarejestrowana, jego kariera prawdopodobnie potoczyłaby się nieco wolniej.

- To jak, towarzyszu oficerze, zabijecie nas wszystkich?

- Rozejdźcie się. Jeśli się rozejdziecie, nie będziemy strzelali.

- Ale nam się tu podoba. Mamy przerwę w zajęciach. Bardzo przyjemnie wymieniało się nam poglądy z towarzyszem komisarzem Krumowem. Może spytałby pan patriotycznego oficera UB, dlaczego jego szanowna władza przerwała naszą owocną dyskusję.

Ganin z trudem powstrzymywał uśmiech.

- Nakazuję wam się rozejść.

Student nie tylko nie posłuchał, ale podszedł jeszcze bliżej i wziął porucznika za ramię.

- To jak, towarzyszu oficerze, ilu z nas kazano wam zabić? Dwudziestu? Trzydziestu? Wszystkich?

- Szczerze mówiąc - odpowiedział Ganin - wszystkich się nie da. Nie mamy tyle amunicji. Przy tych brakach rynkowych.

Student wybuchnął śmiechem i nagle ucałował Ganina w oba policzki. Rumianolicy porucznik też się zaśmiał, a jego twarz wypełniła wizjer szwedzkiego kamerzysty.

- Posłuchaj pan - powiedział konfidencyjnie - na pewno możemy się dogadać.

- Oczywiście, że możemy się dogadać, towarzyszu oficerze. - Odwrócił się i krzyknął do kolegów: - „WIĘCEJ AMUNICJI DLA ŻOŁNIERZY”.

Gdy Komando Dziewińskiego ruszyło naprzód, machając beretami i naprzemiennie wykrzykując hasła: PRECZ Z BRAKAMI RYNKOWYMI i WIĘCEJ AMUNICJI DLA ŻOŁNIERZY, Ganin niepewnie dał swym ludziom znak, by opuścili karabiny. Żołnierze niechętnie zastosowali się do rozkazu i wcale nie wyglądali na uszczęśliwionych, gdy każdy ze studentów wybrał sobie jednego z nich i uścisnął zamaszyście. Zdjęcia były jednak niezwykle dramatyczne, a brak fonii umożliwił ludziom wyobrazenie sobie bardziej podniosłego dialogu. Z niezdecydowanego, jeśli nawet nie



tchórzliwego podoficera, Ganin wyrósł na symbol przyzwoitości, żywą reklamę siły dialogu i możliwości kompromisu; jego krótka, niema rozmowa, z pustymi dymkami pary, na brukowanym placu przed hałdami brudnego śniegu odczytana została jako zapowiedź tego, że w sytuacji wyboru między narodem a partią, armia stanie po stronie narodu.

Po zajęciach w Sliven Ganin tak szybko awansował, że jego żona Nina z trudem nadążała ze zmianą naszywek na jego mundurze. Ucieszyła się, gdy zmienił strój na cywilny. Jej zabawna ulga była jednak przedwczesna. Liczne przyjęcia, w których Georgi zmuszony był uczestniczyć, oznaczały konieczność przeróbek garniturów. Teraz stał w gabinecie Solińskiego, otyły urzędnik z czerwoną od wspinaczki po schodach twarzą, a przezornie przyszyty podwójną nitką środkowy guzik marynarki rwał się na wolność. Ganin niezdarnym gestem wręczył prokuratorowi generalnemu tekturową teczkę.

- Proszę mi opowiedzieć, co tam jest - powiedział Soliński.

- Towarzyszu prokuratorze...

- Wystarczy: panie prokuratorze, panie generale.

- Tak jest, panie prokuratorze. W imieniu Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju chcę wyrazić poparcie dla pańskich działań i ufam, że pański trud zostanie nagrodzony.

Soliński znowu się uśmiechnął. Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim zginą dawne formy grzecznościowe.

- Co jest w teczce?

- Ufamy, że oskarżony zostanie uznany za winnego wszystkich stawianych mu zarzutów.

- Tak, tak.

- Dla przechodzących obecnie restrukturyzację OWOK wyrok taki byłby niezwykle pomocny.

- Cóż, to jest sprawa sądu.

- Ale także sprawa dowodów.

- Generale...

- Tak jest, panie prokuratorze. W teczce znajduje się wstępny raport o sprawie Anny Petkanowej. Najważniejsza dokumentacja została niestety zniszczona.

- Nie zaskoczył mnie pan.

- Słusznie, panie prokuratorze. Lecz choć najważniejszą dokumentację zniszczono, wiele akt zostało patriotycznym wysiłkiem ocalonych. Nawet jeśli dostęp do nich oraz identyfikacja nie zawsze są rzeczą łatwą.

- ...?

- Tak, panie prokuratorze. Jak sam pan zobaczy, istnieją wstępne dowody, iż w sprawę Anny Petkanowej zaangażowana jest Służba Bezpieczeństwa..

Soliński nie wykazał większego zainteresowania.

- Wszędzie można się czegoś dogrzebać - odparł.

Na dobrą sprawę w życiu publicznym narodu w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat Urząd Bezpieczeństwa maczał palce prawie we wszystkim.

- Tak jest, panie prokuratorze. - Ganin nadal trzymał teczkę w wyciągniętej do przodu ręce. - Czy mamy pana informować na bieżąco?

- Jeżeli... - Soliński roztargnionym ruchem wziął teczkę. - Jeżeli uzna pan to za stosowne. - Mmm. Jak łatwo powraca się do starych sformułowań. „Jeżeli uzna pan za stosowne”. No i dlaczego powiedział: „Wszędzie można się czegoś dogrzebać”? Przecież normalnie się tak nie wyraża. To język oskarżonego w Sprawie I z Ustawy Karnej. Może się zaraził. Musi poćwiczyć mówienie: „Tak”, „Nie”, „To głupie” i „Proszę wyjść”.

- Życzymy panu powodzenia w dalszym przebiegu rozprawy, panie prokuratorze.

- Tak, dziękuję. Proszę wyjść. - Dać żołnierza do cywila i zaraz zaczyna mówić dwa razy dłuższymi zdaniami. - Dziękuję. - Proszę wyjść.

Wiera przecięła plac Świętego Bazylego Męczennika, który przez ostatnie czterdzieści lat nosił różne nazwy: plac Stalingradu, plac Breżniewa, a nawet - oględniej - plac Bohaterów Socjalizmu. Teraz na kilka miesięcy popadł w anonimowość. Nagie metalowe kikuty podszywały się pod uspione kasztanowce. Jedne i drugie czekały na wiosnę: drzewa na liście, a słupki na tablice z nazwą. Miasto znowu będzie miało plac Świętego Bazylego Męczennika.

Wiera wiedziała, że jest ładna. Była zadowolona z mocno zarysowanych kości policzkowych i szeroko osadzonych piwnych

oczu, nie miała zastrzeżeń do swych nóg, czuła, że pasują do niej jasne ubrania, które nosi. Jednak w parku na placu Świętego Bazylego, przez który codziennie przechodziła o dziesiątej rano, w tajemniczy sposób przepoczwarzała się w brzydulę. Działo się tak już od kilku miesięcy. Przy zachodniej bramie parku tłoczyła się zawsze setka mężczyzn, lecz żaden nawet na nią nie spojrzał. A jeśli spojrzał, to zaraz odwracał wzrok, nie patrzył na nogi, nie uśmiechał się na widok szyfonowego kołnierzyka.

Przed przemianami istniał obowiązek zgłaszania publicznych zgromadzeń powyżej ośmiu osób, co często sprowadzało się do tego, że ludzie w skórzanych płaszczach chcieli poznać nazwiska i adresy. Po przemianach widok chaotycznego zbiegowiska stał się czymś powszechnym. Niektórzy przechodnie przyłączali się instynktownie. Tak samo stanęliby w każdej kolejce w teoretycznej nadziei na kilka jajek czy pół kilograma marchewki. Dziwnym trafem masówki te składały się wyłącznie z mężczyzn, z reguły w wieku od osiemnastu do trzydziestu lat, czyli mężczyzn, którzy zawsze na nią patrzyli. Tym razem znajdowali się w stanie uporządkowanego podniecenia, gdy jeden po drugim, wskutek ledwie dostrzegalnego procesu przenikania, byli wsysani z obrzeża grupy do środka, a po kilku minutach wyrzucani na zewnątrz. Niektórzy dostawali chyba to, czego chcieli, gdyż z poczuciem osiągnięcia celu wychodzili przez zachodnie bramy; reszta błąkała się bezładnie dookoła.

Pornografia, taka była pierwsza myśl Wiery. W środku, na odwróconej do góry dnem skrzynce po piwie, pokazują pewnie jakieś

marnie wydane czasopismo. Albo na skrzynce stoi butelka zagranicznego alkoholu i kilka kieliszków; butelkę ktoś pewnie znalazł w kuble na śmieci koło hotelu dla zagranicznych turystów i napełnił toksycznym bimbrem. A może w środku odchodzi handel czarnorynkowy. Może ci szczęśliwcy, którzy wyszli przez zachodnie bramy, udali się po odbiór trefnego towaru. A jeśli nie, to cała sprawa ma pewnie coś wspólnego z religią, partią monarchistyczną, astrologią, numerologią albo hazardem. Te stłoczone ożywione zgromadzenia rzadko dotyczyły przebudowy ustroju państwa, zanieczyszczenia środowiska czy reformy rolnej. Było to zawsze coś nielegalnego lub eskapistycznego, a w najlepszym wypadku - pseudonaukowego. A ostateczny efekt był taki, że mężczyźni nie patrzyli na nią.

Babcia Stefana nie chciała oglądać procesu i jej obecność z początku wprawiała studentów w lekkie zakłopotanie. Siedziała kilka metrów dalej, w kuchni, pod oprawionym w ramki portretem W. I. Lenina, którego usunięcia nikt nie ośmielił się jej zasugerować. Była niską, otyłą kobietą, z oklapłą, pozbawioną kilku zębów górną szczęką, a własnoręcznie udziergany beret, który zawsze miała na głowie, zwiększył efekt krągłości. Odzywała się teraz rzadko, gdyż uważała, że większość pytań nie wymagała odpowiedzi. Skinienie głową, wzruszenie ramionami, wręczenie talerza, czasem uśmiech; to wystarczy, by się porozumieć, szczególnie gdy ma się do czynienia ze Stefanem i jego młodymi znajomymi. Ależ oni trajkoczą. Siedzą przy

telewizorze, mówią jeden przez drugiego, przerywają sobie, nie słuchają swych wypowiedzi dłużej niż przez chwilę. Ćwierkają jak sikorki. Oleju w głowie też tyle, co u sikorek.

Dziewczyna odnosiła się do niej dość uprzejmie, ale ci dwaj, szczególnie ten pyskaty, chyba Atanas... Znowu tu, przyszedł, wsadził głowę przez drzwi i gapi się w coś nad jej głową.

- Witam, Babciu, czy to pani pierwszy mąż?

Znowu nie trzeba odpowiadać.

- Hej, Dymitrze, widziałeś to zdjęcie Babci chłopaka?

Przyleciała druga sikorka z gniazda i nie wiadomo po co gapi się w portret.

- Nie wydaje się zbyt szczęśliwy, Babciu.

- I trochę dla ciebie za stary.

- Puściłbym go w trąbę, Babciu. Wygląda na nudziarza.

Po co odpowiadać na coś takiego?

Poprzedniego wieczora głowę przykrytą beretem opatulila dodatkowo wełnianym szalikiem, zdjęła portret ze ściany i wyszła z mieszkania nie mówiąc, dokąd idzie. Złapała tramwaj jadący na plac Walki z Faszyzmem, który dalej tak nazywała na przekór bezczelnym kierowcom autobusów, i kupiła trzy czerwone goździki od chłopca, który chciał jej policzyć podwójnie, gdyż uważał, że na pewno idzie na wiec, a zatem musi być komunistką, czyli sprawczynią wszystkich jego życiowych nieszczęść. Jej rzadki wypad w język mówiony zmusił go do normalizacji ceny. Teraz stała na placu z kilkuset innymi pogrobowcami reżimu; obrzeża zgromadzenia patrolowali pewni

siebie mężczyźni, którzy niewątpliwie nie byli członkami partii, Ile jeszcze upłynie czasu, nim partia zostanie znów zdelegalizowana, zepchnięta do podziemia? Nim znów dojdą do głosu faszyci, a młodzi ludzie odszukają na strychach spłowiałe zielone mundury swych dziadków z Żelaznej Gwardii? Oczyma duszy widziała nieuchronny powrót do prześladowań klasy robotniczej, do wykorzystywania bezrobocia i inflacji jako instrumentu politycznego. Widziała też jednak, w dalszej przyszłości, chwilę, gdy ludzie powstaną i otrząsną się, gdy przywrócona zostanie należna im godność i szlachetne koło rewolucji zacznie się kręcić na nowo. Jej już wtedy oczywiście nie będzie na świecie, ale że do tego dojdzie, nie miała wątpliwości.

Dopiero w weekend Piotr Soliński znalazł czas, by przejrzeć materiały dostarczone mu przez szefa Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju. Anna Petkanowa 1937-1972. Przy nazwisku zawsze były daty, więc znał je już na pamięć. Imię, nazwisko i daty, na znaczkach pocztowych, tablicach pamiątkowych, w programach koncertów, na pomniku przed Pałacem Kultury im. Anny Petkanowej. Jedyne dziecko prezydenta Stojko Petkanowa. Ideał młodzieży. Minister kultury. Fotografie Anny Petkanowej jako pyzatego młodego pioniera w czerwonej czapce, jako poważnej studentki chemii z okiem przy okularze mikroskopu, jako młodej, ale cierpiącej na nadwagę attache do spraw kultury kraju, przyjmującej bukiety kwiatów po powrocie z podróży zagranicznej. Świetlany przykład dla wszystkich kobiet w

kraju. Żywe ucieleśnienie socjalizmu i komunizmu, jego zwycięskiej przyszłości. Młodzieńcza pani minister oceniająca projekt Pałacu Kultury, teraz nazwanego jej imieniem. Słuszniejszej tuszy pani minister przyjmująca kwiaty od zespołu tańca ludowego, zasluchana w muzykę symfoniczną w łoży prezydenckiej Filharmonii Narodowej. Zdecydowanie tłusta pani minister, z krytycznie wycelowanym w mówcę papierosem, uczestnicząca w zebraniach Związku Pisarzy. Anna Petkanowa, cierpiąca na poważną nadwagę, niezamężna, namiętna palaczka i bywalczyń bankietów, zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat. Opłakiwana przez naród. Nawet najwięksi kardiologowie w kraju nie byli w stanie nic zrobić, choć dysponowali najnowocześniejszym sprzętem. Jej starzejący się ojciec stał w puszystym śniegu, z odkrytą głową, na bacność przed krematorium, gdy rozsypywano jej prochy. A na tablicy na murze powtarzały się słowa: Anna Petkanowa 1937-1972.

No nie, pomyślał Soliński, kartkując raport Ganina, to wszystko jest nic niewarte. Nie zaskoczyło go, że Urząd Bezpieczeństwa miał teczkę z danymi Anny Petkanowej, że pewien dobrze ustawiony pracownik Ministerstwa Kultury składał comiesięczne donosy, że związek pani minister z gimnastykiem, który zdobył srebrny medal na Igrzyskach Bałkańskich był przedmiotem ścisłej obserwacji. Gimnastyk, jak sobie przypominał Soliński, upił się szpetnie na bankiecie kilka tygodni po śmierci Anny Petkanowej, a wkrótce potem otrzymał zezwolenie na emigrację, co w języku oficjalnym oznaczało, że został zbudzony o świcie i zawieszony na lotnisko z



jedną zmianą bielizny.

Po śmierci córki Stojko Petkanow ogłosił tydzień żałoby narodowej. Byli ze sobą bardzo blisko. Po nominacji na ministra kultury coraz częściej widywano ją u jego boku, zamiast zniedołężniałej żony, która najwyraźniej wolała przebywać w jednej z rezydencji na wsi. Mówiło się, że Petkanow przygotowuje swą córkę do przejęcia po nim urzędu prezydenta. Chodziły także słuchy, że córka prezydenta zrobiła się taka opasła, odkąd podczas jednej z podróży zagranicznych została nałogowym konsumentem amerykańskich hamburgerów i po nieudanych próbach wyszkolenia prezydenckich kucharzy w ich przyrządzaniu kazała je sobie sprowadzać drogą powietrzną. Mrożone hamburgery hurtowo, a czasem detalicznie - w walizce dyplomatycznej.

Słuchy te mniej więcej potwierdziła zawartość teczek generała brygady Ganina, łącznie z informacją, że żona prezydenta w ostatnich latach życia potajemnie odwiedzała drewniany kościółek w swej rodzinnej wiosce, a jej niedołęstwo było w znacznym stopniu skutkiem picia wódki. To wszystko jednak przeszło już do historii. Anna Petkanowa 1937-1972 nie żyje. Podobnie jak jej matka, Stojko Petkanow odpowiada obecnie na rozliczne zarzuty narodu, lecz nie ma wśród nich oskarżenia o posiadanie zapijaczonej żony klerykałki. A gimnastyk? O ile Soliński potrafił sobie przypomnieć, gimnastyk przez jakiś czas mieszkał w Paryżu, gdzie jego kariera stanęła w miejscu, po czym dostał posadę trenera gdzieś na Środkowym Zachodzie USA. Mówiono, że pewnego wieczora, znów pijany, wpadł

pod ciężarówkę i zginął na miejscu. A może chodziło o kogoś innego?

To było już tak dawno. Prokurator generalny odłożył teczkę na bok i uniósł głowę znad biurka. Słońce zaczynało zachodzić, a bagnet pomnika Wiekuistej Wdzięczności dla wyzwolicielskiej Armii Czerwonej odbijał jego promienie. Tak, oczywiście, to właśnie tam jego wzrok po raz pierwszy spoczął na Annie Petkanowej. W Święto Pracy poważna studentka chemii, budujący przykład dla naukowców całego kraju, towarzyszyła swemu ojcu w ceremonii składania wieńców. Pamiętał jej kręłą postać, poważną, przypominającą mopsa twarz i spięte w kok włosy. Wydawała mu się wtedy oczywiście ucieleśnieniem kobiecego piękna i gotów był za nią skoczyć w ogień.

Pod jednym względem proces przypominał większość tych, które odbyły się w ciągu ostatnich czterdziestu lat: przewodniczący rozprawy, prokurator generalny, obrona i oskarżony - przede wszystkim oskarżony - zdawali sobie sprawę, że władza zwierzchnia nie przyjmie do wiadomości wyroku uniewinniającego. Poza tym jednym pewnikiem nie było się czego trzymać, nie istniała żadna tradycja prawna, za którą można by pójść. W starych czasach monarchii zdjęto z urzędu kilku członków gabinetu, a dwóch premierów zdymisjonowano dość demokratyczną metodą zamachu na życie, lecz publiczny proces obalonego władcy był bezprecedensowy. I choć faktyczne zarzuty sformułowano tak precyzyjnie, aby podejrzany nie miał szans uniknięcia wyroku, przewodniczący procesowi i jego dwaj ławnicy wyczuwali powszechną aprobatę,

graniczącą z patriotycznym zobowiązaniem, na rozszerzenie zakresu rozprawy. Przepisy dotyczące wyłączenia dowodów i dopuszczalności pytań interpretowano bardzo szeroko; świadków można było wzywać dowolnie często; oskarżeniu wolno było formułować hipotezy wykraczające poza granice prawdopodobieństwa prawnego. Atmosfera przypominała raczej jarmark niż kościół.

Stojo Petkanow, stary wyjadacz, nie miał nic przeciwko temu. W każdym razie proceduralne niuanse mało go obchodziły. Wolał obronę totalną i równie totalny kontratak. Prokurator generalny dysponował równie szerokimi uprawnieniami w zakresie przesłuchiwania świadków i stawiania hipotez. Prezydium sądu miało jedynie zadbać o to, aby przedstawiciel nowych władz nie został nadmiernie upokorzony przez byłego prezydenta.

- Czy dnia 25 czerwca 1976 roku przydzielił pan, zlecił przydzielić bądź zezwolił na przydzielenie Milanowi Todorowi trzypokojowego mieszkania na Osiedlu Słonecznym?

Petkanow nie od razu odpowiedział. Pozwolił, by na twarz wkraść mu się wyraz rozbawionego zdumienia.

- Skąd mam wiedzieć? Czy ty pamiętasz, co zrobiłeś piętnaście lat temu między dwoma łykami kawy? Ty mi powiedz.

- Mówię panu zatem. Mówię panu, iż wydał pan lub zezwolił na wydanie takiego polecenia, łamiąc przepisy dotyczące uprawnień urzędników państwowych w dziedzinie gospodarki mieszkaniowej.

Petkanow odchrząknął, co z reguły zapowiadało przejście do ataku.

- Masz ładne mieszkanie? - spytał nagle prokuratora generalnego. Gdy Soliński zbierał myśli, Petkanow ponaglił go. - No przecież chyba wiesz, czy masz ładne mieszkanie czy nie?

*[Mam dupiane mieszkanie. Sprostowanie. Mam dwadzieścia procent dupianego mieszkania.]*

Soliński zawahał się, gdyż nie uważał swego mieszkania za szczególnie ładne. Wiedział, że Maria jest z niego zdecydowanie niezadowolona. Z drugiej strony nie chciał publicznie kłaść własnego gniazda. W końcu powiedział:

- Tak, mam ładne mieszkanie.

- To dobrze. Moje gratulacje. A czy pani ma ładne mieszkanie? - spytał stenografistki sądowej, która z przestachem podniosła głowę. - A pan, panie przewodniczący, spodziewam się, że przysługuje panu ładne mieszkanie służbowe? A pan? A pani? - Spytał ławników, spytał panie mecenas, spytał funkcjonariusza policji, nie czekał jednak na odpowiedź. Wskazywał palcem po sali, to tu, to tam. - A pan? A pani? A pan?

- Wystarczy - zarządził wreszcie przewodniczący. - Nie jesteśmy na posiedzeniu Politbiura. Nie będzie pan nas rozstawiał po kątach jak bandy bęcwałów.

- To nie zachowujcie się jak bęcwały. To mają być zarzuty? Kogo obchodzi, czy piętnaście lat temu jakiemuś obiecującemu aktorowi dano dwa pokoje czy jeden? Jeżeli to wszystko, o co jesteście mnie w stanie oskarżyć, to przez te trzydzieści trzy lata u steru państwa nie zrobiłem chyba wiele złego.

*[- Znowu powiedział „u steru”. Chyba się udławię. - Zamiast tego Atanas skierował w stronę Stojko Petkanowa dym papierosowy.]*

- Czy wolałby pan zostać oskarżony - Soliński poczuł się uprawniony do takiej sugestii - o wyniszczenie żywej tkanki narodu i zdewastowanie gospodarcze kraju?

- Nie mam konta w banku szwajcarskim.

*[- No to ciekawe, w jakim?]*

- Proszę odpowiedzieć na pytanie.

- Nigdy nie wywozłem nic z kraju. Mówi pan o wyniszczeniu i dewastacji. Za socjalizmu korzystaliśmy z bogatych dostaw surowców od naszych radzieckich towarzyszy. To wy zapraszacie Amerykanów i Niemców, by niszczyli i dewastowali.

- Oni inwestują.

- Oho! Przywożą trochę pieniędzy po to, żeby wywieźć dużo więcej. To są metody kapitalistyczno-imperialistyczne, a ci, którzy na to pozwalają, to nie tylko zdrajcy, ale i ekonomiczni kretyni.

- Dziękujemy panu za wykład. Nie powiedział nam pan jednak, o co wolałby pan być oskarżony. Do jakich zbrodni gotów jest się pan przyznać?

- Jak łatwo panu mówić o zbrodniach. Przyznam, że popełniałem omyłki. Podobnie jak miliony moich rodaków w gorączce pracy nie zawsze podejmowałem słuszne decyzje. Pracowaliśmy, niekiedy popełnialiśmy błędy, a naród szedł z postępem. Nie można skarżyć głowy państwa o pojedyncze fakty wyjęte z kontekstu historycznego, państwotwórczego. Występuję tu zatem jako obrońca nie tylko

siebie samego, ale tych wszystkich milionów patriotów, którzy przez cała lata pracowali, nie szukając własnej korzyści.

- Może zatem powie pan sądowi o tych „błędach”, do których się pan przyznaje, ale które pana zdaniem nie kwalifikują się jako zbrodnie?

- Tak - powiedział Petkanow, ku zaskoczeniu prokuratora. Nie spodziewał się, że oskarżony jest zdolny do prostej odpowiedzi. - Biorę na siebie odpowiedzialność za kryzys poprzedzający 12 października i zgadzam się, by część odpowiedzialności spoczywająca na mnie została szerzej naświetlona. Myślę - ciągnął tonem męża stanu - że może powinienem zostać osądzony za zadłużenie zagraniczne kraju.

- A, czyli jednak za coś jest pan odpowiedzialny. Coś pan sobie przypomina i jest pan za to odpowiedzialny. A jaki, pana zdaniem, jest odpowiedni wyrok dla osoby, która pragnąc za wszelką cenę utrzymać się u władzy, zaciąga tak wielki dług zagraniczny, że obecnie na jego spłacenie potrzeba średniej dwuletniej pensji na głowę każdego obywatela?

- Wiele z tego jest waszą zasługą - odparł Petkanow lekkim tonem - gdyż, jak rozumiem, stopa inflacji wynosi obecnie czterdzieści pięć procent, podczas gdy za socjalizmu inflacja nie istniała, jako że zwalczaliśmy ją naukowymi metodami. Naturalnie, w okresie kryzysu poprzedzającego 12 października skonsultowałem się z czołowymi doradcami ekonomicznymi w partii i w kraju. Na ich pisemnych raportach oparłem swe decyzje, lecz zgadzam się, by

szerzej naświetlić część odpowiedzialności spoczywającą na mnie. A wtedy oczywiście - ciągnął z rosnącą pewnością siebie - wyrok należeć będzie do narodu.

- Panie prokuratorze - powiedział przewodniczący rozprawy - myślę, że czas powrócić do bardziej odnośnych spraw.

- Słusznie. A zatem, panie Petkanow, czy dnia 25 czerwca 1976 roku przydzielił pan, zlecił przydzielić bądź zezwolił na przydzielenie rzeczonemu Milanowi Todorowi trzypokojowego mieszkania na Osiedlu Słonecznym?

Petkanow usiadł i pobłaźliwie machnął ręką.

- Ma pan ładne mieszkanie? - powiedział w powietrze. - A pan? A pan? A pan? - odwrócił się w swym twardym krześle i spytał stojącą za nim mamusiową strażniczkę. - A pani?

*[- Ja mam straszne mieszkanie - powiedział Dymitr. - Mam dwadzieścia procent dupianego mieszkania.*

*- A co byś chciał? Jesteś winien prezydentowi Buschowi dwuletnią pensję. Masz szczęście, że nie musisz mieszkać z Cyganami.*

*- Pracowaliśmy i popełnialiśmy błędy.*

*- Błędy rzeczywiście pamiętam.]*

Maria Solińska godzinę czekała na autobus przed blokiem na Osiedlu Przyjaźni. Nie, nie mam ładnego mieszkania, pomyślała. Chcę mieć mieszkanie, w którym Angelina będzie miała gdzie się bawić, gdzie nie będą co dwie godziny wyłączać prądu, gdzie nie skończy się nagle woda w kranie, jak dziś rano. Miasto najwyraźniej

podupadało. Większość samochodów stała beczynnie z powodu braku benzyny. Autobusy jeździły, gdy tankowiec przywiózł ropę, kiedy mechanicy zdołali zapalić na pych, kiedy te chamy kierowcy raczyli się zjawić w przerwie od handlowania walutą.

Maria miała czterdzieści pięć lat. Nadal dość atrakcyjna, jak sądziła, choć nie była tego całkiem pewna po rzadkich umizgach Piotra. Podczas przemian ludzie byli zbyt zajęci albo zbyt zmęczeni, żeby się kochać: to jeszcze jedna rzecz, która się rozsypała. A potem, gdy zaczęli od nowa, bali się konsekwencji. Podczas ostatniego roku statystycznego liczbę urodzin przekroczyła zarówno liczba aborcji, jak i liczba niemowląt, które urodziły się martwe. Czy to w jakiś sposób nie świadczy o kraju? Naprawdę nie powinno się wymagać od żony prokuratora generalnego, żeby jeździła do biura autobusem, w ścisku, z byle chłopami. Zawsze ciężko pracowała i uważała, że daje z siebie wszystko. Tata był bohaterem walki z faszyzmem. Dziadek był jednym z pierwszych członków partii, zapisał się jeszcze przed Petkanowem. Nigdy go nie widziała, a przez lata prawie w ogóle o nim nie wspomiano, ale odkąd przyszedł list z Moskwy, znowu mogli być z niego dumni. Kiedy pokazała zaświadczenie Piotrowi, nie podzielił jej radości, mówiąc, że jedna pomyłka nie może anulować drugiej. Typowe dla jego obecnej postawy - ciche, zadufane w sobie poczucie triumfu.

Wyszła za niego w wieku dwudziestu lat. Prawie zaraz potem jego ojciec popełnił głupstwo; ludzie mówili, że miał szczęście, iż skończyło się na areszcie domowym na prowincji. Później mniej



więcej w tym samym wieku, co ojciec, Piotr wystąpił z partii, głupio, prowokacyjnie, nawet nie pytając jej o zdanie. Było w nim coś niespokojnego, ciągle szukał guza, podobnie jak jego ojciec. A potem zgłosił swą kandydaturę na oskarżyciela w procesie Petkanowa! Profesor w średnim wieku chce się bawić w bohatera! Żalotne. Jeśli przegra, dozna upokorzenia; a nawet jeśli wygra, i tak połowa ludzi będzie go nienawidzić, a druga połowa powie, że był zbyt pobłażliwy.

Generał brygady Ganin jak zawsze przyszedł z wyciągniętą przed siebie kartonową teczką. Może budził się z teczką w ręce i jedynym sposobem uleczenia tej przypadłości była wizyta u prokuratora generalnego.

- Mamy nadzieję, panie prokuratorze, że przebieg rozprawy odpowiada pańskim najlepszym oczekiwaniom.

- Tak, dziękuję. Proszę mi powiedzieć, co jest w teczce. - Soliński po prostu wyciągnął rękę i zabrał teczkę.

- Tak jest. - Raport o naszym dochodzeniu dotyczącym działalności specjalnego wydziału technicznego przy ulicy Reskowa. Głównie w okresie od 1963 do 1980 roku, kiedy wydział został przeniesiony do sektora północno-wschodniego. Zachowało się wiele raportów z ulicy Reskowa.

- Dumni ze swych dokonań?

- Trudno powiedzieć, panie prokuratorze. - Generał stał usztywniony i zdenerwowany, bardziej przypominał porucznika z prowincji niż osobę współodpowiedzialną za restrukturyzację

państwa.

- Generale, mam pewną sprawę...

- Tak, panie prokuratorze?

- Czy nie wie pan przypadkiem... To coś zupełnie bez związku, zastanawiałem się tylko, co się stało ze studentem, tym brodatym, który pocałował pana w śniegu.

- Kowaczew. Tak się składa, że wiem, co robi. Organizuje komitety kolejkowe do konsulatu amerykańskiego.

- Chce pan powiedzieć, że pracuje dla Amerykanów?

- Ależ nie. Nie widział pan prokurator tych ludzi na placu Świętego Bazylego? Stoją w kolejce po wizy.

- Nie rozumiem.

- Nie chcą stać na ulicy, przed budynkiem. Wstydzą się, boją się, że ludzie ich zganią, albo że będą jakieś kłopoty. Organizują więc kolejkę w parku, przy bramach zachodnich. Kowaczew tym wszystkim zawiaduje. Każdy dostaje numer i codziennie rano sprawdza, na którym jest miejscu. Nikt nie oszukuje. Wszyscy go słuchają. Świetny zmysł organizacyjny.

- Ten człowiek powinien pracować dla nas.

- Nie zgodzi się. Próbowałem. Przysłał mi kartkę, gdy dostałem awans. - Ganin automatycznie sięgnął ręką do ramienia, choć cywilny garnitur nie miał żadnych naszywek. - Napisał: CHCEMY GENERALÓW, NIE CHLEBA.

Piotr Soliński uśmiechnął się. Ten Kowaczew sprawiał wrażenie ciekawego człowieka. W przeciwieństwie do sztywniaka generała.

- Na czym stanęliśmy?

Ganin znów przybrał sztywną pozę.

- Sądziłem, że może pan być zainteresowany krótkim raportem z naszego dochodzenia przy ulicy Reskowa, gdyż uzyskaliśmy informacje dotyczące osiągnięć w dziedzinie wywoływania fałszywych objawów chorobowych.

- A konkretnie?

- Konkretnie: wywoływania objawów zawału serca za pomocą doustnych bądź dożylnych środków farmakologicznych.

- Coś jeszcze?

- Coś jeszcze?

- Czy są dowody zastosowania rezultatów badań na jakichś konkretnych osobach?

- Nie, panie prokuratorze. Nie w tej kartotece.

- Dziękuję panu, generale.

- Tak jest, panie prokuratorze.

Przez kolejne długie popołudnie nie ruszyli z miejsca. Przypominało to wyciskanie gąbki: na ogół była sucha, a jeśli nie, woda wyciekała przez palce. Nie pozostawiające żadnych wątpliwości przykłady niesłychanej zachłanności prezydenta, jego aroganckie gromadzenie majątku, jego kleptomania i dzikie malwersacje, wszystko to zdawało się po prostu rozplywać w powietrzu na oczach kilku milionów świadków. Gospodarstwo w prowincji północnej? Prezent urodzinowy od wdzięcznego narodu z okazji dwudziestej

rocznicy jego nominacji na głowę państwa, prezent, który po śmierci jubilata miał powrócić w posiadanie narodu. A poza tym prezydent rzadko tam bywał, a jeśli już, to po to, by ugościć zagranicznych dygnitarzy i wspomóc sprawę komunizmu. Dom nad Morzem Czarnym? Dar Związku Pisarzy i Oficyny Wydawniczej im. Lenina za zasługi dla literatury kraju i zrzeczenie się połowy honorariów za *Dzieła zebrane* (32 tomy, 1982). Domek myśliwski w górach zachodnich? Od Partii Komunistycznej, z okazji czterdziestej rocznicy uzyskania przez prezydenta legitymacji partyjnej... i tak dalej, i tak dalej.

Z wpływem rozprawy kolejne posunięcia Petkanowa były coraz trudniejsze do przewidzenia. Na początku sesji prokurator generalny nigdy nie wiedział, czy ma się spodziewać zajadłej agresji, rubaszności, trywialnego filozofowania, melodramatyzowania czy upartego milczenia, nie mówiąc już o nieustannych przeskokach od jednego do drugiego. Czy była to świadoma taktyka, czy też spontaniczny przejaw głęboko chwiejnej osobowości? W samochodzie do Ministerstwa Sprawiedliwości, z teczką pełną powierzchownie inkryminujących dokumentów, Piotr Soliński doszedł do wniosku, że jego plan, aby lepiej poznać Petkanowa i skuteczność przewidywania jego posunięcia, jak na razie spalił na panewce. Czy kiedykolwiek zdoła zgłębić naturę tego człowieka?

Gdy wjechał na szóste piętro, prezydent jak na złość znajdował się w wyjątkowo radosnym nastroju. W końcu kim jest Stojó Petkanow, jeśli nie normalnym człowiekiem, o normalnym

charakterze, który prowadzi normalne życie? Dlaczego zatem miałyby tracić pogodę ducha?

- Wiesz co, Piotrze, właśnie sobie coś przypomniałem. Gdy byłem mały, jeździłem na wycieczki ze Związkiem Młodzieży Komunistycznej. Pamiętam, jak pierwszy raz weszliśmy na Rykoszę. Był koniec października i spadł już śnieg, a z miasta nie było widać wierzchołka góry, bo chmury zasłaniały.

- Teraz nie widać wierzchołka przez cały rok - odparł Soliński - bo jest takie zanieczyszczenie powietrza. Oto jakie poczyniliśmy postępy.

- Wchodziliśmy całe przedpołudnie - Petkanow nie dał się zbić z tropu; jego opowieść biegła do przodu jak po szynach tramwajowych. - Ścieżka była nierówna, kamienista, nie zawsze było ją widać, kilka razy przecinaliśmy rzeki kamieni. To się jakoś w geologii specjalnie nazywa, nie pamiętam. Potem weszliśmy w chmury i nie widzieliśmy nic przed sobą, więc cieszyliśmy się, że szlak jest dobrze oznakowany, że ktoś już szedł przed nami tą drogą. Robiliśmy się głodni i trochę zniechęceni, ale nikt z towarzyszy nie narzekał, choć mieliśmy mokro w butach i bolały nas mięśnie. Aż tu nagle wyszliśmy z chmury. A tam, nad chmurami, świeciło słońce, niebo było błękitne, śnieg zaczynał lać łyzy, powietrze było krystalicznie czyste. Jak na komendę wszyscy zaczęliśmy śpiewać: *Ruszamy czerwonym szlakiem*. I tak śpiewając i maszerując parami za rękę, dotarliśmy do samego szczytu.

Petkanow spojrzał na swego gościa. Historia ta przez dziesiątki lat wywoływała westchnienia i ocierane ukradkiem łyzy; Soliński

zrewanżował mu się ciemnooką wrogością.

- Proszę mi oszczędzić tanich analogii - powiedział prokurator generalny. Boże, całe życie ich wysłuchiwał, różnych przypowieści, odezw, przykrojonych na miarę morałów, rodziników chłopskiej mądrości. Zacytował pierwszy z nich, jaki przyszedł mu do głowy. - „Aby posadzić drzewo, trzeba najpierw wykopać dołek!”

- To prawda - odparł dobrodusznie Petkanow. - Widziałeś kiedyś, żeby ktoś zasadził drzewo, nie wykopawszy dołka?

- Nie, chyba nie widziałem. Za to widziałem bardzo dużo dołków, w których zapomnieli posadzić drzewa.

- Piotrze, synu mojego drogiego przyjaciela. Mylisz się, sądząc, że ja nic nie wiem o życiu. Wiem, że ludzie żyją według, jak ty to nazywasz, tanich analogii.

- Cieszę się, że pan to powiedział. Zawsze wiedzieliśmy, że w głębi duszy pogardza pan ludźmi, że nigdy nie miał pan do nich zaufania. Dlatego ciągle pan ich szpiegował.

- Oj, Piotrze, Piotrze, może wiesz, jak brzmi mój głos, ale powinienes kiedyś posłuchać, co ja naprawdę mówię. Może ci się to kiedyś przydać w twojej szczytnej roli prokuratora generalnego, nie mówiąc już o innych sprawach.

- No to słucham.

- Powiedziałem, że ludzie żyją według tego, co ty nazywasz tanimi analogiami. Twój ojciec był przez jakiś czas teoretykiem. Czy dziś wymyśla ładne teorie o pszczołach? Ty sam jesteś intelektualistą, każdy to widzi. A ja jestem po prostu człowiekiem z ludu.

- Człowiekiem z ludu, którego pisma zebrane wyszły w trzydziestu dwóch tomach.

- No to niech będzie, że pracowitym człowiekiem z ludu. Ale wiem, jak do nich mówić, i jak ich słuchać. - Soliński nawet nie próbował się spierać. Zaczynał odczuwać znużenie. Niech się wygada, nie jesteśmy w sądzie. Nie wierzył w nic z tego, co mówił Petkanow i wątpił, czy były prezydent sam w to wierzy. Czy istnieje jakiś termin z retoryki na tego rodzaju kulawą rozmowę, w której obłudny monolog napotyka wzgardliwe milczenie?

- Co oznacza, że wiem, czego ludzie chcą. Czego ludzie chcą, Piotrze, potrafisz mi to powiedzieć?

- Na dziś to pan mianował się ekspertem.

- Nie muszę się mianować, jestem ekspertem. Czego chcą ludzie? Chcą stabilizacji i nadziei. I myśmy im to dali. Nie wszystko było doskonałe, ale za socjalizmu ludzie mieli podstawy, by marzyć, że kiedyś będzie. A wy - wy daliście im tylko destabilizację i brak nadziei. Zalew przestępczości. Czarny rynek. Pornografię. Prostyucję. Głupie baby znów trajkoczące do ucha księżom. Tak zwanego dziedzica korony mieniącego się zbawicielem narodu. Jesteś dumny z tych błyskawicznych dokonań?

- Przestępczość istniała zawsze. Tylko wy nas okłamywaliście.

- Sprzedają pornografię na schodach mauzoleum pierwszego przywódcy. Uważasz, że to dobry dowcip? Uważasz, że to mądre? Uważasz, że to postęp?

- I tak nie ma go już w środku, żeby sobie poczytał.

- Uważasz, że to postęp? No powiedz, Piotrze, czy to postęp?

- Myślę - odparł Soliński, który mimo zmęczenia zachował prawniczy instynkt odparowywania zarzutów - że nie ma w tym nic zdrożnego. - Petkanow spojrzał na niego ostro. - Powiedziałbym, że pierwszy przywódca specjalizował się w pornografii.

- Nie widzę żadnej analogii.

- Ale ja widzę, i to bardzo dokładną. Powiedział pan, że dawaliście ludziom nadzieję. Nie, wy dawaliście im złudzenia. Wielkie cyce, ogromniaste kutasy i nieustanne pieprzenie się każdego z każdym. Tym kupczył pański pierwszy przywódca, a przynajmniej politycznymi odpowiednikami. Pański socjalizm jest tego właśnie typu złudzeniem. A nawet jeszcze większym. W tym, co sprzedają przed mauzoleum jest przynajmniej jakaś doza prawdy, w tych wszystkich świństwach.

- No i kto się ucieka do tanich porównań, Piotrze? Jak miło słyszeć prokuratora generalnego występującego w obronie pornografii. Jesteś bez wątpienia równie dumny z inflacji, czarnego rynku, kurw na ulicach?

- Są trudności - przyznał Soliński. - Jesteśmy w okresie przejściowym. Muszą być bolesne przystosowania. Musimy zrozumieć twarde reguły ekonomiki. Musimy wytwarzać towary, które ludzie chcą kupić. Wtedy osiągniemy dobrobyt.

Zachwycony Petkanow zarechotał.

- Pornografia, mój drogi Piotrze. Cyce i kutasy. Czego i tobie życzę.



- Wiecie, co myślę?

- Myślisz, że powinniśmy przestać oglądać, Dymitrze.

- Tak, ale wiem, dlaczego tak myślę.

- Mogę prosić piwo?

- No więc tak. Szkoła, gazety, telewizja, rodzice, no może nie wszyscy, nauczyli nas wierzyć, że socjalizm jest lekarstwem na wszystko. To znaczy, że socjalizm jest słuszny, jest naukowy, że wszystkie stare systemy zostały wypróbowane i nie sprawdziły się, a ten, w którym my mieliśmy szczęście żyć, ten system był... dobry.

- W rzeczywistości nikt tak nie myślał, Dymitrze.

- Może nie, ale przecież sądziliśmy, że ludzie tak myślą, dopóki się nie dowiedzieliśmy, że większość z nich udaje. I wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że socjalizm nie jest objawioną prawdą polityczną i że każda kwestia ma dwie strony.

- To wyssaliśmy już z mlekiem matki.

- Tak, bo był wybór między lewicą a prawicą.

- Bardzo dowcipne, Atanasie.

- Chcę więc powiedzieć, że oglądanie tego procesu, dzień po dniu, słuchanie racji obrony, czekanie na decyzję sędziów, to jest... jesteśmy wobec niego zdecydowanie zbyt mili.

- Dlatego, że zarzuty są takie trywialne.

- Nie, wcale nie o to chodzi. Dlatego, że cała sprawa jest oderwana od rzeczywistości. Dlatego, że przychodzi taki moment, kiedy nie każda kwestia ma dwie strony, jest tylko jedna strona.

Wszystko, co wychodzi z jego ust, to kłamstwa, obłuda i bzdury bez jakiegokolwiek wartości. Nie powinno się nawet tego słuchać.

- Powinno się było zrobić proces moralny?

- Nie, w ogóle nie powinno być procesu. Powinno się było powiedzieć: ta kwestia nie ma drugiej strony. Samo wytoczenie procesu to niesłuszne przyznanie mu jakichś racji, przyznanie, że nawet w tej sprawie, nawet w najgorszych sprawach jest jakaś druga strona. A nie ma. W niektórych kwestiach jest tylko jedna strona. Kropka.

- Brawo, Dymitrze. Dać mu piwa.

Przez chwilę milczeli. Potem Wiera powiedziała:

- Jutro u Stefana. O zwykłej porze.

- Generale, ktoś mógłby pomyśleć, że stara się pan o uniewinnienie byłego prezydenta.

- Słucham, panie prokuratorze? - Zwierzchnik Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju był zdumiony.

- Zawsze przychodzi pan w porze, gdy pracuję nad pytaniami oskarżenia.

- Przyjdę później.

- Nie, nie. Tylko proszę szybko.

- Notatki dotyczące linii programowej państwa za lata 1970-1975.

- Nie wiedziałem, że była jakaś linia programowa.

- W tym okresie częstokroć wyrażano niezadowolenie... To jest,

w pierwszej połowie tego okresu wiele razy wyrażano niezadowolenie z dokonań i dążeń ministra kultury.

Soliński pozwolił sobie na uśmiech. Doprawdy, ten żołnierz zbyt łatwo przekształcił się w biurokratę.

- Służba Bezpieczeństwa nie pochwałała niektórych symfonii Prokofiewa?

- Nie. To znaczy niedokładnie, ale skoro już pan wspomniał o tej dziedzinie, rzeczywiście krytykowano program II Międzynarodowego Kongresu Jazzowego.

- Myślałem, że partia popierała jazz jako prawdziwy głos protestu prześladowanego ludu, cierpiącego w okowach międzynarodowego kapitalizmu?

- Owszem, popierała. Pańskie słowa powtarzają się wiele razy. Ale szczególny indywidualizm jednego z prześladowanych wykonawców, w zestawieniu z osobistym zainteresowaniem jego losem, jakie przejawiała pani minister kultury, uznano za szkodliwy dla przyszłości socjalizmu.

- Rozumiem. - Czyli jednak pod tym otyłym garniturem kryły się jakieś strzępki poczucia humoru.

- I cóż dalej?

- Osobiste ambicje pani minister kultury uznano za niebezpieczne i antysocjalistyczne. Jej zamiłowanie do sprowadzanych z zagranicy artykułów osobistego użytku uznano za dekadentkie i antysocjalistyczne.

- A także zamiłowanie do sprowadzanych z zagranicy muzyków

osobistego użytku?

- To również. Zgodnie z tymi szkicowymi notatkami, z których dopiero powstanie raport końcowy, za szkodliwe dla interesów państwa uznano także osobiste ambicje i aspiracje prezydenta dotyczące jego córki.

- Co też pan powie? - To już było ciekawsze. Miało, to prawda, niewiele wspólnego ze Sprawą I z Ustawy Karnej, lecz było zdecydowanie interesujące. - Twierdzi pan, że zabili ją ubecy?

- Nie.

- Jaka szkoda.

- Nie mam żadnych dowodów, by to stwierdzić.

- Lecz gdyby pan znalazł na to dowody?

- Naturalnie przekazałbym je panu.

- W jakim stopniu pana zdaniem, generale, Urząd Bezpieczeństwa mógł sobie w tych czasach pozwolić na działania na własną rękę?

Ganin zamyślił się przez chwilę.

- Myślę, że w takim samym stopniu, jak każda tajna policja. W niektórych dziedzinach wymagana była ścisła kontrola i składanie raportów; w innych - tylko ogólne zatwierdzenie akcji, bez potrzeby sporządzania szczegółowych raportów. Na niektórych wydzielonych obszarach Urząd Bezpieczeństwa działał według swego własnego uznania, co leży w najlepszym interesie państwa.

- Czyli usuwali ludzi?

- Bez wątplenia. Nie tak wielu, o ile da się powiedzieć. I nie w

ostatnich latach.

- Odcisków palców pewno za wiele nie zostawili.
- W samej rzeczy.

Soliński powoli skinął głową. Podarte na strzępki raporty. Starte odciski palców. Ciała dawno spalone w krematorium. Wszyscy wiedzieli, co się stało, bo stało się to na ich oczach. A teraz, gdy tacy, jak on próbowali poskładać jakieś zarzuty wobec człowieka, który temu wszystkiemu, przewodził, zachowywali się, jakby nic takiego się nie wydarzyło. Albo jakby to było w jakiś sposób normalne, a co za tym idzie - niemal wybaczone. Spisek normalności, nawet w szalonych czasach.

Wszyscy wiedzieli, co się działo, więc każdy w jakiś niewypowiedziany sposób udzielał na to swej zgody. A może to zbyt wydumane? Przypisywanie winy wszystkim to kolejny popularny w dzisiejszych czasach spisek. Nie, ludzie nic nie mówili przede wszystkim ze strachu, i to strachu zupełnie uzasadnionego. A częścią zadania, jakie on na siebie wziął, było wykrzewienie tego strachu, danie ludziom pewności, że już nigdy nie będą musieli iść ze strachu na kompromis.

Schodząc ze schodów Sądu Narodowego, by wsiąść do zila, Stojko Petkanow śmiał się do siebie. Już od lat nie jechał tą landarą. Sam wolał mercedesa, przynajmniej w ostatnich latach. Czajka, którą go teraz z początku wozili, była znośna, tylko zawieszenie nieco twarde. Aż tu nagle tego rana, pod jakimś pretekstem, przysłali tę

dupianą limuzynę ził z lat sześćdziesiątych. To za mało, żeby go wytrącić z równowagi. Mogą go wozić nawet gazikiem. Liczy się tylko to, co w sądzie. A w sądzie miał kolejny dobry dzień. Ten chudy intelektualista z wyłupiastymi oczyma, którego wystawili przeciwnicy, z godziny na godzinę miał coraz mniej włosów. Stary lis wziął ich wszystkich w obroty.

Usiadł na nie znanym sobie siedzeniu ziła i zaczął się dzielić swymi spostrzeżeniami ze strażnikiem.

- Ze starymi lisami - rozpoczął - trzeba...

Jadący aleją tramwaj przyhamował ze stalowym piskiem kół o szyny. Konwój zatrzymał się. Ha, wszystko im się psuje. Nawet autobusy im nie kursują. Obserwował tłum napierający na nieudolnie porozstawiane barierki. Stoją coraz bliżej, pomyślał; jeszcze bliżej niż za czasów mercedesa.

Petkanow zauważył, że jacyś chuligani za najbliższą barierką wymachują do niego pięściami. Włożyłem wam te buty na nogi, odpowiedział im w duchu, wybudowałem szpital, w którym się urodziliście, wybudowałem waszą szkołę, dałem waszym ojcom emeryturę, pilnowałem granic, a wy co, wstrętne szumowiny, machacie na mnie łapami? Dwie barierki rozstały się i jacyś bojówkarze zaczęli biec w stronę samochodu. Cholera. Dwulicowi zdrajcy. To po to dali mu ziła, tak to chcieli zrobić, publicznie... potem poczuł na twarzy czerwoną wykładzinę na podłodze samochodu, do której przytłamsił go strażnik swym ciężarem. Usłyszał grzmiące metaliczne dudnienie. Wykładzina otarła mu twarz,

gdy ził szarpnął z miejsca i z piskiem opon wykręcił obok zepsutego tramwaju. Strażnik zdjął z niego brzemie dopiero na dziedzińcu Ministerstwa Sprawiedliwości (dawnego Urzędu Bezpieczeństwa).

- O boziu - powiedział żołnierz, schodząc z niego - dziadek się posrał. - Zaśmiał się. Dołączyli do niego kierowca i drugi strażnik.

- Gównu przeszło do drugiej nogawki - skomentował kierowca.

Upokarzali go w ten sposób aż do szóstego piętra, szli po schodach i pokazywali go każdemu, kogo napotkali, na każdą okazję wymyślając nowe sformułowanie: „Wujo narobił sobie w spodniach kłopotu”, „Pan prezydent zapomniał nocniczka”. Każda kolejna odzywka, choćby bardzo niskiego lotu, wzbudzało w nich jeszcze większe rozbawienie. Wreszcie doprowadzili go do celi i pozwolili mu się umyć.

Pół godziny później przyszedł Soliński.

- Przepraszam za chwilowe osłabienie czujności ochrony.

- Pokpili sprawę. Mógłbyś już wystawiać mojego trupa na pokaz amerykańskim mediom. - Wyobraził sobie kłamliwe czołówki gazet. Wspomnił Ceausescu z żoną, ich zwichnięte ciała. Wytropieni i pospieszenie rozstrzelani po tajnym procesie. Unieszkodliwić wampiry, szybko, szybko. Ciało Nicolae, ciało, które tyle razy ścisnął podczas uroczystości państwowych, opróżnione z życia. Krawat dalej starannie zawiązany i ironiczny półuśmiech na ustach, które on, Stojko Petkanow, wielokroć całował na lotnisku. Oczy były otwarte, zapamiętał ten szczegół, Ceausescu nie żył, jego zwłoki pokazano w telewizji rumuńskiej, ale oczy miał dalej otwarte. Nikt nie ośmielił się

ich zamknąć?

- To niepotrzebne podejrzenia - powiedział Soliński. - Po prostu kilku gówniarzy, którzy chcieli walnąć pięścią w dach samochodu. Nie mieli przy sobie żadnej broni.

- Następnym razem. Następnym razem im pozwolisz.

Starszy pan zamilkł. Soliński słyszał, że były prezydent narobił w spodnie. Chyba po raz pierwszy skurczył się w sobie i robił wrażenie upokorzonego, zwyczajny, starszy pan, siedzący za stołem przed opróżnioną do połowy butelką kwaśnego mleka.

- Kochali mnie - powiedział nieoczekiwanie. - Mój lud mnie kochał.

Soliński zastanawiał się, czy puścić to mimo uszu. Ale właściwie dlaczego? Tylko dlatego, że tyran napaskudził w spodnie? W każdej sytuacji Soliński jest prokuratorem generalnym, musi o tym pamiętać. Odpowiedział więc, powoli i z naciskiem:

- Nienawidzili pana. Bali się i nienawidzili pana.

- To byłoby zbyt łatwe - natychmiast zareplikował Petkanow. - To byłoby dla ciebie zbyt wygodne. To jest twoje kłamstwo.

- Nienawidzili pana.

- Mówili mi, że mnie kochają. Wiele razy.

- Jeśli bić kogoś kijem i kazać mu powiedzieć, że cię kocha, to prędzej czy później powie.

- To nie było tak. Kochali mnie - powtórzył Petkanow. - Nazywali mnie Ojcem Narodu. Poświęciłem im całe swoje życie, a oni umieli to docenić.



- To pan nazwał się Ojcem Narodu. A agenci Urzędu Bezpieczeństwa dali to na transparenty, to wszystko. Wszyscy pana nienawidzili.

Nie zwracając uwagi na Solińskiego, były prezydent wstał, podszedł do łóżka i położył się. Powiedział do siebie, do sufitu, do Solińskiego, do głuchoniemego strażnika:

- Kochali mnie. Nie potraficie tego znieść. Nigdy się z tym nie pogodzicie. Zapamiętajcie to sobie. - Potem zamknął oczy.

Odpozynek zdawał się przywracać mu hardość i upór; ciało rozluźniło się w miękkie fałdy, lecz kości stwardniały i wyszły na wierzch. Piotr Soliński już miał odwrócić wzrok, gdy dostrzegł pod łóżkiem doniczkę z terakoty, z rozkrzewioną po podłodze rośliną. A więc to nie plotka. Stojo Petkanow rzeczywiście śpi z pelargonią pod łóżkiem, dając wiarę gusłom, że przyniesie mu to długi i szczęśliwy żywot. Był to tylko głupi kaprys dyktatora, lecz w pierwszej chwili przeraził prokuratora. Długi i szczęśliwy żywot. Petkanow lubił się chwalić, że jego ojciec i dziadek dożyli setki. Co oni z nim zrobią przez następne dwadzieścia pięć lat? Piotrowi mignęła w głowie ohydna wizja przyszłej rehabilitacji prezydenta. Wyobraził sobie serial telewizyjny: *Stojo Petkanow: Moje życie i czasy*, z przemiłym dziewięćdziesięciolatkiem w roli tytułowej. Siebie ujrzał w roli bohatera negatywnego.

Były prezydent zaczął chrapać. Nawet pod tym względem był nie do przewidzenia. Chrapanie nie było chorobliwe ani komiczne, tylko szydercze, niemal władcze. Prokurator generalny posłusznie

opuścił celę.

Pozostali rozczarowali go. Uciekali, umierali, chorowali. Jak każdy porządny chłop gardził chorobą. Zrobiły się z nich mięczaki, zestarzeni się. Jak brzmiał ten wiersz, którego nauczył się w Warkowej? To była dla niego próba wytrzymałości. Ciężkie roboty, maltretowanie przez strażników, ciągły strach, że przyjadą uzbrojeni w pejczy faszyci w zielonych koszulach. Oddział Żelaznej Gwardii pozbawił życia sześciu towarzyszy w celach, podczas gdy oficerowie więzienni grali w karty. Petkanow lubił powtarzać, że przeszedł w Warkowej twardą szkołę i nigdy nie wyrzeknie się sprawy socjalizmu i komunizmu. Co takiego szepnął mu do ucha towarzysz na wybiegu, w pierwszym tygodniu robót?

*Choć ciężkie nam w tych murach zadają katusze,  
Pierwej kamień skruszeje niżli nasze dusze.*

Dochował wiary. Jego kraj, wzór socjalizmu, pozostał najwierniejszym sojusznikiem Związku Radzieckiego, póki nie zaczęły się zdrady i cofanie na pozycje obronne. Jakże byli do niedawna silni, jakże solidarni. Jaki budzili w świecie szacunek, jaki postrach. Bezlitosna, zdecydowana sojusznicza akcja z 1968 roku pokazała światu. Faszystowska Ameryka doznała upokorzenia za swe imperialistyczne awanturnictwo w Wietnamie, socjalizm wszędzie zdobywał nowy grunt, w Afryce, w Azji, w Europie. Był to czas

wielkich nadziei, kiedy przywódcy dumnie stali ramię w ramię.

A teraz aż żal pomyśleć. Erich zwiął do Moskwy, zaszył się jak szczur w ambasadzie Chile i czekał na samolot do Korei Północnej. Kadar zdradził, otworzył granicę i umarł: Madziarowi nigdy nie można zaufać. Husak też nie żyje, strawiony przez raka, przyjął ostatnie namaszczenie od klechy, pokonał go ten pismak, którego powinien był wsadzić do więzienia na całe życie. Jaruzelski nie stanął na wysokości zadania, przeszedł na drugą stronę i teraz mówi, że wierzy w kapitalizm. Ceausescu, ten przynajmniej zginął na polu walki, jeśli ucieczkę i rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny można uznać za walkę. Z Nicolae zawsze był cwaniaczek, grał na obie strony, nie dołączył się do sojuszniczej akcji w 1968 roku; ale przynajmniej miał trochę kręgosłupa moralnego i do końca próbował powstrzymać tę zarazę.

No i, najgorszy ze wszystkich, ten słabeusz i idiota Kremla, który wyglądał, jakby mu ptak narobił na głowę. Wdał się w ten pojedynek autoreklamowy z Reaganem. Proszę mi pozwolić zniszczyć jeszcze trochę rakiet SS-20 - a teraz dacie mnie na okładkę „Time’a”? Człowiek Roku, Kobieta Roku, pomyślał Petkanow. A teraz Rosjanie nie umieją nawet poradzić sobie z handlem alkoholem. No i ta ich próba zamachu stanu. Żałosne, że Gorbaczow dał się tak schwytać. Żałosne, że lojalni komuniści nie zrobili oczywistych rzeczy - nie przejęli radia i telewizji, nie przejęli gazet, nie zajęli parlamentu, nie zneutralizowali niebezpiecznych osób. I jak się skończyło? Pozwolili temu faszycie Jelcynowi zrobić z siebie bohatera. Gdzie poszły

wszystkie historyczne nauki, skoro nawet Rosjanie nie umieją przeprowadzić zamachu stanu?

Został tylko on. Wiedział, że na to się zanosi, a przynajmniej widział taką możliwość, odkąd RWPG podniosło ceny ropy w 1983 roku. A potem Gorbaczow zaczął się rozbijać po Zachodzie i żebrać o dolary i łaski. A teraz wszystko do niczego. Gorbaczow skończony - mówią, że zostanie profesorem w Stanach, dostał swój napiwek, dziękuję, panie prezydencie. Związek Radziecki rozpadł się na kawałki, w NRD wszystko się poprzewracało, Czechosłowacja zaraz pęknie jak marchewka, Jugosławia rozbita od góry do dołu. W NRD typowa historia. Weszli kapitaliści, zamknęli zakłady, bo nierentowne, wyrzucili wszystkich z pracy, wszystkie ładne stare domy wykupili dla siebie, żeby mieć gdzie spędzać wakacje, każdą jedną ustawę nagieśli do kapitalistycznego prawa, taki skutek - w NRD wszystko się pozmieniało. Z NRD została się już tylko ta blondyna biegaczka, która zdobywała medale na olimpiadach. NRD-owcy: obywatele czwartej kategorii, pogardzani, bezrobotni, wszyscy się śmieją z ich małych samochodów. Cyrkowe dziwadła.

Został już tylko on. „*Choć ciężkie nam w tych murach zadają katusze, Pierwej kamień skruszeje, niżli nasze dusze.*” Był już swoim życiu w więzieniu, od tego się wszystko zaczęło, jego dusza nie skruszała. Nie skruszeje i teraz. Nigdy nie będzie błagał klechy o odpuszczenie grzechów, nie umrze jak Husak, nie zwieje na Kreml jak Erich. Nowy rząd miłujących roślinność faszystów chciał postawić go przed sądem. Dobrze wiedzieli, czego im potrzeba: słabego starca,

który wyzna swe zbrodnie, przyzna się do wszystkiego, co zechcą, w zamian za darowanie życia. Podczas wstępnych przesłuchań rozegrał sprawę po mistrzowsku. Odmówił współpracy, powiedział, że nie uznaje sądu, napiętnował ich burżuazyjną sprawiedliwość, cały czas powtarzając znużonym głosem, że jedynym jego życzeniem jest wyjechać na wieś i w spokoju dokonać żywota. Robił tak dzień po dniu, aż wreszcie byli absolutnie pewni jednej rzeczy, mianowicie, że nie wytrzymają, jeśli go nie osądzą. A tego właśnie chciał.

Zależało mu nie na życiu, ale na zachowaniu wiary. Sprzedają pornografię przed mauzoleum pierwszego przywódcy. Księża tańczą na stołach. Zagraniczni kapitaliści węszą po kraju jak psy w rui. Dziedzic korony, jak znów zaczęły go nazywać gazety, dogląda swych pałaców i powtarza, że nie chce oczywiście powrócić jako monarcha, lecz jako przedsiębiorca, który wspomocze swój kraj, za łaskawym pozwoleniem narodu. Kiedy przysłał swą żonę, a ona poszła na mecz piłkarski, to nikt nawet nie patrzył, co się dzieje na boisku. Całe to gadanie, że ludzie chcą referendum, czy przywrócić monarchię, jakby to nie zostało przesądzone lata temu, to typowe chwytły. Czemu gazety nie opublikują tego zdjęcia trzech wujków dziedzica korony w mundurach Żelaznej Gwardii?

I tak ostał się tylko on, Stojko Petkanow, drugi przywódca, sternik nawy państwowej, obrońca socjalizmu. Ten pieprzony Gorbaczow wszystko zniszczył, wszystko. Przyjechał tu z królewską wizytą, wymachiwał w powietrzu tymi swoimi dwoma hasłami i spodziewał się, że wszyscy mu przyklasną. Po czym dodał jednym

tchem, że nie może już przyjmować naszych pieniędzy za ropę. Tylko twarda waluta. Najwyraźniej nie dostrzegł żadnej ironii w tym, żeby pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego wyłudzał dolary amerykańskie od przywódcy najbardziej sojuszniczego kraju socjalistycznego. Kiedy mu powiedziano, że naród ma bardzo mało dolarów, Gorbaczow odparł, że dolary się znajdują, kiedy dokona się przebudowy kraju w duchu otwartości.

Petkanow był dumny z tego, co się potem stało.

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu - powiedział. - Chciałbym zaproponować przebudowę swego własnego pomysłu. Mój kraj przechodzi obecnie pewne trudności, z których przyczyn obaj zdajemy sobie sprawę. Nasze narody zawsze szły ramię w ramię drogą do socjalizmu. Byliśmy waszym wiernym sojusznikiem w tłumieniu sił kontrrewolucyjnych w 1968 roku. Po tym wszystkim towarzysz pierwszy sekretarz oświadcza, że nasza waluta nie jest już u was ważna, że między naszymi krajami wprowadzony zostanie rozdział. Posunięcie to nie wydaje mi się ani konieczne, ani słuszne, ani bratnie. Chciałbym przedłożyć wam inną propozycję, inną wizję przyszłości. Proponuję, by zamiast schodzić z obranego przez nasze narody czerwonego szlaku, dlatego że przeciął nam drogę kamienny potok, proponuję, by nasze narody jeszcze bardziej się zbliżyły.

Widział, że Gorbaczow słucha go z wielkim zainteresowaniem.

- Co macie na myśli? - spytał Rosjanin.

- Proponuję pełną integrację naszych państw.

Gorbaczow nie spodziewał się tego. Tego nie było w

harmonogramie. Nie wiedział, jak się w tej sytuacji zachować. Przyjechał poinstruować drugiego przywódcę, co ma robić w swym kraju, założywszy, że będzie miał do czynienia z jakimś durnym aparatczykiem w starym stylu, który nie rozumie, na czym polega świat. A tu okazało się, że to Petkanow ma konkretny plan, co się Gorbaczowowi nie podobało.

- Wy tłumaczcie, o co wam chodzi - powiedział Gorbaczow.

Petkanow wytłumaczył. Mówił o trwałym i bezkompromisowym dążeniu narodu do socjalizmu, internacjonalizmu i pokoju. Odwoływał się do historycznych zmagania narodu i jego szczytnych ideałów. Odważnie zmierzył się z problemem wyłaniających się sprzeczności, które mogą narastać i zaszkodzić interesom narodu, jeśli partia nie podejmie odpowiednich środków w celu ich likwidacji. Pozornie marginalnym, lecz w gruncie rzeczy najistotniejszym elementem jego przemowy była opowieść o młodzieńczym objawieniu, którego doznał na górze Rykosza. Na koniec stworzył porywającą wizję przyszłości, z jej wyzwaniem i możliwościami.

- O ile rozumiem - powiedział jego gość po dłuższej chwili milczenia - proponujecie wcielenie waszego kraju do ZSRR jako szesnastej republiki.

- Właśnie.

Po pożałowania godnym zajściu przy bramach sądu obronie zaproponowano jednodniowe odroczenie rozprawy. Panie mecenas Milanowa i Złotarowa, których były prezydent nieoczekiwanie zaczął się radzić w drobnych sprawach, były za, lecz Petkanow odmówił.

Następnego dnia, gdy prokurator generalny znów naciskał go w sprawie jego osławionej pazerności, Petkanow był w sielskim nastroju, promieniowała z niego niewinność.

- Jestem zwyczajnym człowiekiem. Nie trzeba mi wiele. Przez te wszystkie lata u steru nigdy nie żądałem dużo dla siebie.

[*- Głupi, kto dużo żąda, ale jeszcze głupszy, kto daje.*]

- Mam proste upodobania. Bardzo mało mi potrzeba.

[*- Czego można jeszcze potrzebować, kiedy ma się cały kraj?*]

- *Więcej niż kraj. Nas też. Nas.*]

- Nie mam pieniędzy ukrytych w banku szwajcarskim.

[*- W takim razie ciekawe, gdzie.*]

- Kiedy znaleźli na moim gruncie trackie złoto, dobrowolnie oddałem je do Narodowego Muzeum Archeologicznego.

[*- Woli srebro.*]

- Nie jestem jak imperialistyczni prezydenci Stanów Zjednoczonych, którzy przedstawiają się swym rodakom jako prości ludzie, a ustępują z urzędu obładowani bogactwem.

[*- My byliśmy jego bogactwem.*]

- Przyznano mi wiele międzynarodowych odznaczeń, lecz zawsze przyjmowałem je w imieniu partii i państwa. Często oddawałem pieniądze na potrzeby Domów Dziecka w kraju. Kiedy Wydawnictwo im. Lenina nastawało, abym pobrał honoraria za swoje książki, gdyż w przeciwnym razie pisarze czuliby się zażenowani pobierając własne, zawsze oddawałem połowę na Domy Dziecka. Z reguły robiłem to bez żadnego rozgłosu.



[ - *My jesteśmy sierotami.* ]

- Moja zmarła żona nigdy nie ubierała się według paryskiej mody.

[ - *Powinna była. Worek kaszy.*

- *Raisa! Raisa!* ]

- Moje własne garnitury uszyte są z materiału tkanego w ośrodku fabrycznym blisko mej rodzinnej wioski.

Soliński miał już tego dość. Na początku porannej rozprawy postanowił, że nie będzie się ciskał, lecz jego tolerancja z każdym dniem malała, a nagły przypływ znużenia połączony był z mdłościami.

- Nie interesują nas pańskie garnitury. - Jego ton był stanowczy i sarkastyczny. - Nie chcemy słyszeć, że uważa się pan za wcielenie wszelkich cnót. Zajmujemy się korupcją. Zajmujemy się tym, w jaki sposób systematycznie wykrwawiał pan kraj na śmierć.

Przewodniczący również zaczął czuć się zmęczony.

- Prosimy o konkrety - wezwał Solińskiego. - To nie jest miejsce na ogólnikowe potępienia. To może pan zostawić mówcom ulicznym.

- Tak, panie przewodniczący.

- Ale czymże jest korupcja? - Petkanow dostojnie podjął temat, jakby wybuch irytacji Solińskiego posłużył mu za odpowiedź. - I dlaczego nie rozmawiać o garniturach?

Stał z rękami na barierce, krępa figura, głowa nisko osadzona w ramionach, wzniesiony nos penetrujący zaduch sali sądowej. Wydawał się tego dnia jedyną osobą, której zostało jeszcze trochę

energii; był motorem rozprawy.

- Czy korupcja nie jest czymś subiektywnym? Pozwolę sobie dać wam przykład. - Przerwał, gdyż wiedział, że po ustawicznych wykrętach i lukach w pamięci informacje faktyczne będą mile widziane. - Na przykład pan, panie prokuratorze generalny, dobrze pamiętam, jak wysłaliśmy pana do Włoch. W połowie lat siedemdziesiątych, czyż nie? Był pan wiernym członkiem partii, dobrym komunistą, prawdziwym socjalistą, a przynajmniej za takiego się pan podawał. Posłaliśmy pana do Turynu, jak pan sobie przypomina, z pewną delegacją handlową. Daliśmy panu również twardą walutę, co było przywilejem, owocem trudu pańskich rodaków. Ale daliśmy panu trochę.

Soliński spojrzał ku podium. Nie wiedział, co się szykuje, a przynajmniej miał nadzieję, że nie wie. Dlaczego przewodniczący nie interweniuje? Czy nie jest to także ogólnikowe potępienie? Jednak wszyscy trzej sędziowie siedzieli z założonymi rękami, wsłuchani z niezdrowym zainteresowaniem w opowieść Petkanowa.

- Na co, mógłby zapytać sąd, dobry komunistą wydaje twardą walutę, owoc robotniczo-chłopskiego trudu swych rodaków? Czy kupuje socjalistyczne książki od naszych włoskich sojuszników, książki ważne i pożyteczne? Czy też może oddaje pieniądze na jakiś tamtejszy Dom Dziecka? A może zaoszczędzi, ile zdoła, aby po powrocie zwrócić pieniądze partii? Ależ skąd, nic z tych rzeczy. Część wydał na ładny włoski garnitur, żeby po powrocie wyglądać bardziej elegancko niż jego towarzysze. Część wydał na whisky. A

pozostałe pieniądze - Petkanow znowu przerwał, gdyż jako stary efekciarz wiedział, że sztuczki starych efekciarzy się sprawdzają - pozostałe pieniądze wydał na kolację w drogiej restauracji, do której zabrał miejscową kobietę. Zadam wam proste pytanie: czy to jest korupcja?

Odczekał chwilę, trzymając nos w górze. Oprawki okularów połyskiwały w świetle lamp telewizyjnych. Następnie uprzedził jakąkolwiek odpowiedź:

- Po kolacji kobieta poszła z prokuratorem generalnym do jego pokoju hotelowego, gdzie, ma się rozumieć, spędziła noc.

*[- Ale jaja.*

*- Dał mu po dupie.*

*- Biedny Soliński. Dostał po dupie.]*

Prokurator zerwał się na nogi, a przewodniczący radził się o coś ławników, lecz Stojko Petkanow nieustannie grzmiał na swego przeciwnika.

- I niech pan nie zaprzecza. Widziałem zdjęcia. Bardzo zgrabna osóbką. Moje gratulacje. Widziałem zdjęcia. Powiedzcie mi, czy to jest korupcja? Moje gratulacje. Widziałem zdjęcia.

Sędzia czym prędzej odroczył rozprawę, reżyser transmisji telewizyjnej wyciszył dźwięk, lecz poinstruował operatora kamery pierwszej, by nie odrywał wzroku od przerażonej twarzy prokuratora, studenci natychmiast zamilkli, babcia Stefana zaśmiewała się do siebie po cichu w kuchni, telewizor był włączony w pustym salonie, a Piotr Soliński stwierdził po powrocie do domu, że ma pościelone na

podłodze swego gabinetu. Miał tam spać, z odległym Aloszą do towarzystwa, aż do końca procesu.

A ten pieprzony mięczak z zapaskudzoną głową okazał się taki fałszywy, zdrajca socjalizmu. Kiedy Gorbaczow wyruszył w podróż, aby odbyć „pilne narady”, które polegały na informowaniu najstarszych, najbliższych sojuszników, że spuści ich po brzytwie, jeśli nie wygrzebią skądś szeleszczących zielonych dolarów wujka Sama, złożył mu najśmielszą ofertę w historii politycznej kraju.

- Towarzyszu pierwszy sekretarzu - powiedział - proponuję pełną integrację naszych dwóch krajów.

Co za manewr! I to w chwili, gdy podżegacze i służalcy kapitalizmu rozpuszczali kłamliwe proroctwa o nieuniknionym upadku socjalizmu, żeby w takiej chwili powiedzieć: patrzcie, socjalizm rośnie w siłę, patrzcie, jak dwa wielkie narody socjalistyczne decydują się na wspólną przyszłość, a Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich zyskuje szesnastą republikę! Ale by to pomieszało szyki oszczercom!

Niestety, Gorbaczow odrzucił propozycję, nawet się nad nią nie zastanowiwszy. Wcześniej Petkanow złożył tę samą ofertę Breżniewowi, a Leonid przynajmniej rozważał ją przez kilka miesięcy, nim wyraził przyjacielskie ubolewanie, że nie może jej przyjąć. Zachowanie Gorbaczowa było pogardliwe.

- Nie tak rozumiemy przebudowę - odparł, po czym ośmielił się stwierdzić, że rewolucyjny plan Petkanowa był tylko próbą uniknięcia

zapłaty rachunku za ropę.

Teraz świat już widzi, co ten nadęty głupiec rozumiał przez przebudowę: pozwolić, by Związek Radziecki - to, co zbudował Lenin, a bronili Stalin i Breżniew - poszedł w rozsypkę. Pozwolić republikom na oddzielenie, kiedy im się tylko spodoba. Wycofać Armię Czerwoną z sojuszniczych placówek. Zrobić sobie zdjęcie na okładkę magazynu „Time”. Łasić się o dolary jak dziwka w hotelu Sheraton. Podlizywać się Reaganowi, a potem Bushowi. A kiedy republiki odwróciły się od niego, pozwolił, by jakieś gówniane państwa nadbałtyckie upokorzyły Związek Radziecki i dzieło internacjonalizmu, kiedy miał ostatnią szansę stanąć w obronie Związku Radzieckiego, ocalić partię i rewolucję, posłać czołgi, to jak on zareagował? Jak tępa stara babuszka, której przez dziurkę w siatce wypadają ziemniaki. O jejku, następny wyleciał, nie da rady się schylić, ale jeszcze dużo zostało. O rany, jeszcze jeden, dobrze, że tylko takie malutkie się przecisną. Rety, dość już tego będzie, ale i tak się jeszcze najem. Kiedy zdurniała stara baba wraca do domu, w siatce nie ma ani jednego ziemniaka. Ale co z tego, skoro deduszka od lat nie ma siły, żeby choć podnieść rękę.

- Kartofelki się pogubiły - mówi mu. - Zjemy sobie na kolację wodzianki.

- Przecież jedliśmy już wczoraj - mówi deduszka z wyrzutem.

- Przyzwyczajasz się - mówi babuszka i nalewa wody do garnka.

- I tak kartofelki były nadgniłe.

Ten zbój z Kremla był do tego wszystkiego takim strasznym

hipokrytą. Oczywiście Petkanow nie proponował, żeby polityczne zjednoczenie nastąpiło natychmiast, bez debaty, bez wszechstronnego rozważenia czynników gospodarczych. Jego propozycja była, przynajmniej na tym etapie, przede wszystkim wyrazem solidarności, przyjaźni i dobrej woli. Tymczasem Gorbaczow zareagował, jakby w grę wchodziły tylko doraźne korzyści ekonomiczne, jakby jego śmiały pomysł sprowadzał się tylko do pragnienia likwidacji zadłużenia.

A co się przez ten cały czas działo? Gorbaczow był zajęty wyprzedając NRD Niemcom Zachodnim. Wyprzedając Wschodu Zachodowi. Szesnaście milionów socjalistycznych obywateli wystawionych na największy w historii ludzkości targ niewolników, z całym dobytkiem, ziemią, domami, bydłem i zakładami. Czemu nikt nie zaprotestował przeciwko czemuś takiemu? Kilku malkontentów i chuliganów w ostatnich dniach Ericha u steru psioczyło na niezbędne ograniczenia możliwości wyjazdów zagranicznych. Ale czy ktokolwiek narzekał, że się nimi handluje jak świniami na jarmarku? Szesnaście milionów obywateli NRD w zamian za 34 miliardy DM - taki układ zawarł Gorbaczow z Kohlem podczas jednego z najczarniejszych i najplugawszych zdarzeń w historii socjalizmu. A potem Gorbaczow wycisnął z Kohla jeszcze siedem miliardów DM i wrócił do domu bardzo zadowolony z siebie, jak ta babuszka od kartofelków. Czterdzieści jeden miliardów DM było dziś ceną za zdradę, socjalistycznymi trzydziestoma srebrnikami. A oni wszyscy do tego dopuścili: armia, KGB, Politbiuro. Wszystko, co zdołali wymącić, to jeden spartaczony zamach stanu. Dopuszcili do tego,

pozwolili mu, żeby wszystko przehandlował.

*Choć ciężkie nam w tych murach zadają katusze, / Pierwej kamień skruszeje niżli nasze dusze. Ale od Matuszki Rosji bił ostatnio smród kruszejących dusz.*

- Myślę, że macie ochotę usłyszeć dowcip - powiedział Atanas.

- Czytasz nam w myślach.

- Serio?

- Dlatego podasz mi następne piwo, zanim opowiesz dowcip.

- Jesteś nieruchawy jak człowiek, któremu wisi u szyi dwuletni dług narodowy.

- Nie daj nam dłużej czekać, Atanasie.

- Jest to opowieść z nizin, o trzech ludziach, których nazwę: Gele, Wute i Dziore. Opowieść szczególnie dotyczy tych, którzy nie mogą sobie sami przynieść piwa. Pewnego dnia owi trzej poczciwi chłopcy odpoczywali nad rzeką Iskur i rozmawiali ze sobą, jak to mają w zwyczaju ludzie w takich okolicznościach.

- Gele - mówi jeden z pozostałych - gdybyś był królem i mógłbyś robić, co byś chciał, to co byś najpierw zrobił?

Gele pomyślał chwilę i powiedział:

- Toś mi dopiero zabił ćwieka. Chyba bym se zrobił kaszy i omaścił tyłą smalcu. I jużbym wincy nic nie chcioł.

- A ty, Wute?

Wute myślał dużo dłużej niż Gele i nareszcie powiedział:

- Już wim. Zakopołbym się w sianie i bym se tak leżoł.

- A ty, Dziore? - spytali obaj pozostali. - Co byś zrobił, jakbyś

był królem i wszystko mógł?

Dziore zastanawiał się najdłużej. Drapał się po głowie, wiercił, żuł trawę, myślał i myślał, a był coraz bardziej zasepiony. W końcu powiedział:

- Choroba, jużście mi wszystko podebrali, nic dla mnie nie zostało.

- Atanasie, czy to jest dowcip z epoki po przemianach, z mrocznych czasów komunizmu czy jeszcze wcześniejszych dni faszystowskiej monarchii?

- To jest dowcip z wszystkich epok dla wszystkich ludzi. Piwo!

- Generale?

- Obywatelu prokuratorze, po pierwsze chciałbym wyrazić...

- Nie, niech pan nie wyraża, generale. Proszę mi po prostu powiedzieć.

- Dokument na wierzchu, panie prokuratorze. Od niego proszę zacząć.

Soliński otworzył teczkę. Pierwszy dokument miał nagłówek NOTA SŁUŻBOWA i opatrzony był datą 16 listopada 1971 roku. Nie miał nadruku żadnego resortu rządu ani służb bezpieczeństwa, tylko napisane na maszynie oświadczenie na pół strony z dwoma podpisami u dołu. A właściwie nawet nie podpisami, tylko inicjałami. Prokurator generalny czytał powoli, przegryzając się przez biurokratyczny żargon. Tego jednego można się było nauczyć za socjalizmu: jak wyłowić treść w spaczonym języku.



Nota dotyczyła połączonych problemów opozycji wewnątrz krajowej i szkalowania państwa za granicą. Za granicą siedzieli emigranci opłacani przez Amerykanów, by nadawać przez radio kłamstwa na temat partii i rządu. A w kraju byli słabi i podatni na wrogą propagandę ludzie, którzy słuchali tych kłamstw, a następnie usiłowali je upowszechnić. Szkalowanie państwa podpadało w kodeksie karnym pod sabotaż i jako takie winno być karane. W tym miejscu Solińskiego zawiodły zdolności przekładowe. Sabotażystów, przeczytał, należy zniechęcać „wszelkimi dostępnymi środkami”.

- „Wszelkimi dostępnymi środkami?”

- To najostrzejsze sformułowanie - odparł Ganin. - Znacznie ostrzejsze niż „wszelkimi środkami”.

- Rozumiem. - Być może w generale dojrzywało poczucie humoru. - A skąd się wziął ten dokument?

- Z budynku przy alei Lenina, zajmowanego uprzednio przez Służbę Bezpieczeństwa. Proszę się jednak przyjrzeć podpisom.

Były dwa. Same inicjały: KS i SP. Kalin Stanow, ówczesny szef Służby Bezpieczeństwa, znaleziony później na dnie klatki schodowej z przetrąconym karkiem, oraz Stojko Petkanow, prezydent Republiki Ludowej, Pierwszy sekretarz KC, tytułarny zwierzchnik Armii Ludowej.

- Stanow? Petkanow?

Generał skinął głową.

- Gdzie to znaleźliście?

- W budynku przy alei Lenina, jak już mówiłem.

- Szkoda, że Stanow nie żyje.

- Wielka szkoda, panie prokuratorze.

- Czy podpis Petkanowa pojawił się jeszcze na czymś?

- Na razie nic więcej nie znaleźliśmy.

- Czy coś wskazuje na to, że rozumiał znaczenie sformułowania „wszelkimi dostępnymi środkami”?

- Z całym szacunkiem, panie prokuratorze...

- Dowody konkretnych spraw, zezwoleń, instrukcji prezydenta, przesłane mu raporty o tym, co się stało z... rzekomymi sabotażystami?

- Na razie nic takiego nie mamy.

- Więc na co może mi się to pana zdaniem, przydać? - Odsunął się z krzesłem i błyszczącymi jak oliwki oczami patrzył srogo na zwierzchnika armii. - Istnieją przepisy wyłączenia dowodów. Jestem prawnikiem. Jestem profesorem prawa - dodał z naciskiem. W tej chwili nie czuł się jednak profesorem prawa. Kilka lat wcześniej znajomy Solińskiego uwiódł wiejską dziewczynę za pomocą drobnych upominków i obietnic, których nie zamierzał dotrzymać. Dziewczyna, która pochodziła z rodziny o bardzo surowych zasadach, zgodziła się pójść z nim do lasu. Znaleźli jakieś zaciszne miejsce i zaczęli się kochać. Dziewczyna zdawała się znajdować w tym wielką przyjemność, lecz gdy zbliżała się kulminacja rozkoszy, nagle otworzyła oczy i wykrztusiła: „Mój ojciec jest bardzo porządnym człowiekiem”. Znajomy Solińskiego powiedział, że z wielkim trudem przyszło mu powstrzymać wybuch śmiechu.

- Proszę zatem wysłuchać mnie przez chwilę, tak jakby nie był pan profesorem prawa - powiedział Ganin. Zdawał się dzisiaj jakiś roślejszy, gdy siedział za biurkiem naprzeciw wychudzonego na twarzy prokuratora. - My, członkowie Ojczyźnianych Wojsk Obrony Kraju, wierzymy, że pańskie szczere zaangażowanie w Sprawę I z Ustawy Karnej zostanie wynagrodzone, pomimo... pomimo pewnych niewygodnych dla pana ustaleń. Jest ważne dla naszego kraju, aby ten proces się odbył. Ważne jest też, aby oskarżony został uznany za winnego.

- Jeśli jest winny - odpowiedział automatycznie Soliński. Mój ojciec jest bardzo porządnym człowiekiem.

- Wiemy również, że postawiono mu zarzuty za zbrodnie, które można mu udowodnić, a nie za zbrodnie, za które powinien być naprawdę skazany.

- To normalne.

- Wiemy również, że wielu innych wysokich funkcjonariuszy partyjnych i wszelkiego rodzaju zbrodniarzy nie zostało postawionych przed sądem, czyli były prezydent jest w sądzie, jak by to powiedzieć, ich przedstawicielem.

- Gdyby był jedyny, moglibyśmy dać mu cukierków.

- Otóż to. Musi pan zatem wiedzieć - zresztą na pewno zdaje sobie pan z tego sprawę - że cały naród oczekuje czegoś więcej niż formalnego wyroku za jakieś drobne malwersacje. A, z całym szacunkiem, taki właśnie kierunek przyjmuje obecnie pańska linia oskarżenia. Naród oczekuje, by wykazać, że oskarżony jest

największym zbrodniarzem w całej naszej historii. Takie jest pańskie zadanie.

- W kodeksie karnym nie ma, niestety, takiego przestępstwa. No, ale wnoszę z tego, generale, że ma pan dla mnie jakąś poradę.

- Przekazywanie panu informacji jest, jak sądzę, moim obowiązkiem.

- Bardzo dobrze, generale, proszę zatem streścić informację, której, pana zdaniem, mi pan udzielił. - Soliński mówił spokojnym głosem, ale wewnątrz się w nim kotłowało. Próbowano go wciągnąć w jakąś krzyżącą, obłąną nieuczciwość. Wszedł na pomnik Stalina i szykował się z młotkiem i dłutem na wąsy z brązu.

- Ująłbym to następująco. Pod koniec lat sześćdziesiątych Urząd Bezpieczeństwa doszedł do przekonania, iż minister kultury działa na szkodę socjalizmu, a zamiar jej ojca, by oficjalnie mianować ją swą następczynią, jest wbrew dobrze pojętym interesom kraju. Specjalny wydział techniczny przy ulicy Reskowa pracował nad wywoływaniem objawów pozorujących zawał serca. 16 listopada 1971 roku prezydent oraz szef Urzędu Bezpieczeństwa, zmarły generał Kalin Stanow, podpisali zezwolenie na stosowanie wszelkich dostępnych środków przeciw oszczercom, sabotażystom i wrogom socjalizmu. Trzy miesiące później Anna Petkanowa zmarła na zawał serca, mimo najlepszych starań naszych najwybitniejszych kardiologów.

- Dziękuję, generale. - Soliński był wstrząśnięty brutalnie podsuniętą mu pokusą. - Mogę panu powiedzieć, że nie nadaje się pan na prawnika.

- Dziękuję, panie prokuratorze. Powiem panu, że nie jest to moja ambicją.

Ganin wyszedł. Mój ojciec jest bardzo porządnym człowiekiem, powtórzył Soliński. Mój ojciec jest bardzo porządnym człowiekiem.

Trzydziestego czwartego dnia Sprawy I z Ustawy Karnej złożyli zeznania następujący świadkowie, wezwani przez mecenas Milanową i Złotarową:

1. Major Służby Bezpieczeństwa Ogniana Atanasowa, osobista pielęgniarka byłego prezydenta. Zeznała, iż na cały ziemski dobytek przywódcy składał się jeden koc.

- Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością, że Stojko Petkanow nigdy nie szastał pieniędzmi - powiedziała. - Cerowałam mu koszule i skarpetki, zmieniałam fason kołnierzyków i krawatów, gdy zmieniała się moda.

2. Były wicepremier Paweł Marinow. Zeznał, że na moskiewskiej Konferencji Partii Komunistycznych i Robotniczych w 1960 roku pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Chin Mao Tse-tung oświadczył prezydentowi, że wyrośnie na wielkiego męża stanu.

- Jest pan człowiekiem bardzo energicznym - powiedział Mao. - Wysunę pańską kandydaturę na premiera Międzynarodowej Republiki Ludowej.

3. Były premier Georgi Kalinow. Zeznał, że jest mitem, jakoby każdy były członek nomenklatury był pazerny i drapieżny. On sam ma w chwili obecnej ekwiwalent dwudziestu dolarów amerykańskich w

miejscowej walucie i nie może się zdecydować, czy zainwestować te pieniądze w proces prywatyzacji, czy też kupić sobie nowe buty. Wyjaśnił, iż ludzie uważają go za człowieka dobrze sytuowanego, gdyż jest właścicielem trzech samochodów, które nabył po nominalnych cenach od resortu ochrony, ciała zapewniającego bezpieczeństwo najwyższym dostojnikom partyjnym i państwowym.

Nie poczuwał się jednak do własności pojazdów, gdyż Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wydało wyraźne instrukcje, że samochody nie podlegają odsprzedaży. Na pytanie mecenas Złotarowej, czy te same warunki zakasujące odsprzedaży stosowały się do osiemnastu pojazdów samochodowych, które oskarżenie określiło jako własność podejrzanego, były premier Kalinow odrzekł, że bez wątpienia tak.

4. Wieńczysław Bojczew, były członek Politbiura. Zeznał, iż dolary przekazane jego synowi przez byłego prezydenta w zamierzeniu miały wywrzeć efekt kształcący i wzniecić w młodym człowieku zainteresowanie techniką. Na pytanie, dlaczego jego syn wydał pieniądze na kawasaki i BMW, pan Bojczew odparł, iż jazda na motocyklu jest sportem paramilitarnym, a zatem zakup motocykli wzmocnił potencjał obronny kraju. Na pytanie, dlaczego syn nie nabył popularnych modeli radzieckich, pan Bojczew odparł, iż sam nie posiada prawa jazdy klasy A, wobec czego kwestia wykracza poza jego kompetencje. Dodał jednak, iż ze swej strony żałuje, że w roku 1968 nie zaszły zmiany oraz że osobiście gotów jest zostać ukrzyżowany na czerwonej gwiazdzie dla dobra swej ojczyzny.

5. Welczo Ganiew, minister finansów za Petkanowa. Zeznał, iż w jego głębokim przekonaniu wypłaty z funduszu reprezentacyjnego były całkowicie zgodne z prawem. Procedura objęta była jednak klauzulą „ściśle tajne”. Na pytanie, dlaczego wykazy osób uprawnionych no korzystania z funduszu zostały zniszczone, Ganin odparł, iż nie funkcjonowały one na zasadzie listy płac, lecz rachunków do rozliczenia. W jego rozumieniu prawo stanowi, iż listy płac winny być przechowywane przez pięćdziesiąt lat, lecz do rachunków się to nie stosuje.

Trzydziestego siódmego dnia procesu, na publicznym placu naprzeciw Sądu Narodowego, pod nagą akacją, na której zawieszono sztuczne liście i kwiaty, Komandosi Dziewińskiego z drugiej uczelni w stolicy zorganizowali udawaną aukcję pamiątek po eks-prezydencie. Licytanci zobowiązani byli przedstawić się z imienia i nazwiska przed złożeniem oferty - wyszło na jaw, iż wśród obecnych są Erich Honecker, Saddam Husajn, cesarz Bokassa, George Bush, Mahatma Gandhi, cały Komitet Centralny Komunistycznej Partii Albanii, Józef Stalin oraz wielu licytantów obojga płci, którzy podawali się za potajemnych kochanków Stojko Petkanowa. Oferty można było składać tylko w twardej walucie.

Koc towarzysza Petkanowa, określony przez prowadzącego aukcję jako „cały ziemski dobytek” byłego prezydenta, został sprzedany Erichowi Honeckerowi za 55 milionów dolarów amerykańskich. Dwie pary pocerowanych skarpetek oraz jedna

zgrzebna koszula z nowym kołnierzykiem, przyfastrygowanym przez major Służby Bezpieczeństwa Ognianę Atanasową poszedł za 27 milionów dolarów. Para sandałów ze świńskiej skóry, włożonych przez towarzysza Petkanowa na okoliczność pierwszego kontaktu z oddziałem ruchu oporu, którym miał dowodzić w walce z faszyzmem, została sprzedana za 35 milionów dolarów oficjalnemu przedstawicielowi Muzeum Mitologicznego. Para spodni z dużą brązową plamą na siedzeniu, także znoszona w walce z faszyzmem, nie znalazła nabywcy. Cesarz Bokassa nabył za dziesięć centów genitalia byłego prezydenta i oświadczył, że zje je na obiad. Czeki zwycięskich licytantów wkładano w usta wielkiej kukły drugiego przywódcy, która przewodniczyła wyprzedaży. Po aukcji kukła, powieszona za szyję z gałęzi akacji, żwawo podrygując, powiedziała dziennikarzom, że jest bardzo usatysfakcjonowana dochodami z wyprzedaży oraz że przekazała już pieniądze na rzecz sierot, które pragną uprawiać paramilitarny sport motocyklowy.

Trzydziestego dziewiątego dnia procesu Wieselin Dymitrow, który uprzednio uniknął składania zeznań przez wzgląd na bliżej nie sprecyzowaną chorobę nerwową, został ostatnim z grupy siedmiu zeznających aktorów. Zdał relację z tego, jak jego ojciec, zastępca pierwszego sekretarza regionu południowego, zgłosił się do członka przybocznej świty prezydenta z prośbą, by polecił towarzyszowi Petkanowowi, cieszącemu się renomą mecenasa sztuki, sprawę swego syna, lojalnego komunisty i sumiennego pracownika Narodowego



Teatru Ludowego, który miał przejściowe kłopoty kwaterunkowe. Dwa tygodnie później zwolniło się trzypokojowe mieszkanie na Osiedlu Słonecznym, do którego aktor się wprowadził.

- Dlaczego wstąpił pan do Partii Komunistycznej?

- Bo wszyscy w mojej rodzinie wstąpili. Inaczej nie dało się do niczego dojść.

- Co pan powiedział ludziom, gdy dostał pan mieszkanie?

- Powiedziałem, że mi się poszczęściło, że mieszkanie się nagle zwolniło. Powiedziałem, że czasem coś funkcjonuje jak należy.

- Cena była znacznie zaniżona. Jak to zostało wyjaśnione?

- Powiedziano mi, że obniżka ceny jest rodzajem stypendium artystycznego.

- Jak pan się za to wypłacił?

- Nie rozumiem.

- Co pan zrobił w zamian za otrzymanie trzypokojowego mieszkania po dziesięciokrotnie obniżonej cenie, i to bez kilkunastoletniego oczekiwania?

- To nie było tak. Nigdy nie musiałem się w żaden sposób wypłacać.

- Czy wystąpił pan w „spontanicznym” spektaklu pantomimicznym na cześć oskarżonego przed jego pałacem w dniu jego sześćdziesiątych piątych urodzin?

- Tak, lecz była to dobrowolna decyzja.

- Czy występował pan w prywatnych spektaklach dla prezydenta i wyższych szczebli nomenklatury?

- Tak, lecz zawsze była to moja dobrowolna decyzja.

- Czy składał pan raporty Służbie Bezpieczeństwa na temat poszczególnych jednostek zatrudnionych w Narodowym Teatrze Ludowym?

- Nie.

- Jest pan tego najzupełniej pewien? Ostrzegam, że zachowały się kartoteki.

- Nie.

- Nie jest pan pewien?

- Nie, nie składałem raportów.

- Nie dosłyszałem. Byłby pan łaskaw trochę głośniej?

- Nie składałem raportów.

- Dziękuję panu. Panie przewodniczący, składam wniosek, by na podstawie jego własnego zeznania wszcząć przeciw panu Dymitrowowi postępowanie o korupcję, malwersację i krzywoprzysięstwo.

- Jak już panu sześciokrotnie wyjaśniałem, panie prokuratorze, wniosek ten nie jest prawomocny, toteż zostaje odrzucony.

*[- No nie, to już przegięcie. - Atanas dmuchnął dymem, tym razem w twarz prokuratora generalnego.*

*- Mam już na dzisiaj dość.*

*- To tylko aktorzy. Oni wszyscy są aktorami. I odgrywają jakąś przedziwną komedię.*

*- Aktorzy, mieszkania, motocykle, obiady z funduszu reprezentacyjnego, kołnierzyki.*

- *Stefan?*
- *Nie, ja chcę oglądać. Musimy.*
- *Musimy. To nasza historia.*
- *Kiedy to NUDNE.*
- *Historia jest często ciekawa dopiero po fakcie.*
- *Ale z ciebie filozof, Wiero. I despota.*
- *Dziękuję ci. Kiedyś, gdy ze mnie będzie stara baba w chustce, a z ciebie stary dziad, któremu ślina kapie z gęby do piwa, przyjdą do nas wnuki i spytają: babciu, dziadku, czy wy byliście już na świecie, gdy sądzili potwora? Wiemy, że jesteście bardzo, bardzo starzy, możecie nam o tym opowiedzieć? A my im opowiemy.*
  - *Chcesz powiedzieć, że opowiemy im o aktorach i motocyklach.*
  - *O tym też. Ale powiemy im także, jak się z nas śmiał. Zawsze się z nas śmiał. Teraz też. Powiemy im, dlaczego się skończyło na gadaniu o aktorach i motocyklach.*
    - *Despotka.*
    - *Cii. Oglądajcie.*
    - *Kto to jest? Następny aktor?*
    - *Bankier, który powie, że wszystkie pieniądze na rachunku prezydenta znalazły się tam przez pomyłkę.*
    - *Producent koców, który powie, że zrobili dla niego tylko jeden.*
    - *Zamknijcie się, chłopcy. Oglądajcie.]*

Tej nocy Piotr Soliński, któremu źle się spało na podłodze gabinetu, poszedł do salonu i zauważył na ścianie oprawione w ramki

świadczenie rehabilitacji. Dalszy dowód, jak dalece rozeszli się z Marią.

Jej dziadek, Rumen Miekow, zawsze określany był jako lojalny komunista i zajadły antyfaszysta. Na początku lat trzydziestych, gdy nasiliły się brutalne prześladowania Żelaznej Gwardii, wraz z innymi wiodącymi członkami partii wyjechał do Moskwy. Pozostał tam lojalnym komunistą i zajadłym antyfaszystą aż do roku 1937, kiedy stał się trockistowskim odszczepieńcem, hitlerowskim szpiegiem, kontrrewolucyjnym podżegaczem, i to najprawdopodobniej wszystko naraz. Nikt nie śmiał zadawać pytań na temat jego zniknięcia. Rumen Miekow nie występował w annałach oficjalnej historii swej partii, a jego rodzina przez pięćdziesiąt lat wymawiała jego imię szeptem.

Kiedy Maria wyznała mu swój zamiar wysłania pisma do Sądu Najwyższego ZSRR, Piotr sprzeciwił się. Wszelkie możliwe informacje tylko przysporzą jej bólu. Poza tym nie przywróci to do życia dziadka, którego nigdy nie widziała na oczy. Choć nie miał odwagi jej tego wyraźnie powiedzieć, jego zdaniem były tylko dwie możliwości: albo Miekow zdradził wielką sprawę, w którą dawniej wierzył, albo został podle oszukany. Co byś wolała, Mario, żeby twój dziadek był zbrodniarzem i renegatem czy łatwowiernym głupcem?

Maria puściła mimo uszu rady męża, wysłała pismo i prawie rok później otrzymała odpowiedź opatrzoną datą 11 grudnia 1989 roku od A. T. Ukołowa, urzędnika Sądu Najwyższego ZSRR. Ukołow zdołał ustalić, że Rumen Aleksiej Miekow został aresztowany 22 lipca 1937 roku i oskarżony o „członkostwo w trockistowskiej organizacji

terrorystycznej i współdziałał w przygotowaniach do działań terrorystycznych, wymierzonych w przywódców Międzynarodówki Komunistycznej, oraz aktów sabotażu przeciwko ZSRR”. Po przesłuchaniach na komisariacie KGB w Stalingradzie (obecnie Wołgogradzie), Miekow został skazany na śmierć przez rozstrzelanie 17 stycznia 1938 roku. Wyrok wykonano tego samego dnia. W wyniku rewizji sprawy, przeprowadzonej w 1955 roku, ustalono, iż nie istnieją dowody przeciwko Miekowowi poza wzajemnie sprzecznymi i ogólnikowymi zeznaniami innych osób oskarżonych w tej samej sprawie. Ukołow wyraził ubolewanie, iż nie jest w stanie podać miejsca pochówku rozstrzelanego oraz iż po ofierze nie zachowały się żadne zdjęcia ani dokumenty. Z przyjemnością jednak potwierdził, iż rzeczony Rumen Miekow był zaangażowanym i lojalnym komunistą, który dnia 14 stycznia 1956 r. został zrehabilitowany. A. T. Ukołow załączył do listu odnośne zaświadczenie.

A ty powiesiłaś to na ścianie, pomyślał Piotr. Powiesiłaś na ścianie dowód, że ruch, któremu twój dziadek poświęcił całe swe życie, zamordował go jak zdrajcę. Powód, że dwadzieścia lat później ten sam ruch stwierdził, iż twój dziadek jednak nie był zdrajcą, tylko męczennikiem. Dowód, że ten sam ruch nie uznał za stosowne poinformować nikogo o tej zmianie optyki przez następne trzydzieści cztery lata. Dlaczego Maria chce, żeby jej coś o tym stale przypominało?

Lojalny komunistą zostaje trockistowskim terrorystą, a potem na

powrót lojalnym komunistą. Bohaterowie zostają zdrajcami, zdrajcy męczennikami. Bohaterscy przywódcy u steru narodu zostają pospolitymi przestępcami złapanymi z cudzą forszą w kieszeni - dopóki w jakiejś przerażającej przyszłości nie zostaną sędziwymi uczestnikami pogawędek telewizyjnych. Piotr Soliński spojrział w nie zasłonięte okno i zobaczył pojawiające się na czarnym tle napisy: „Stojo Petkanow: rehabilitacja wodza narodu”. Rewizjonizmowi temu można zapobiec, jeśli tylko Soliński dobrze się spisze w ostatnim tygodniu procesu.

A czym zostają profesorowie prawa, oskarżyciele publiczni, mężowie, ojcowie? Jakie tytuły im przybędą, jakie ubędą? Jakie szanse stwarza im przełamująca się fala historii?

- Powtórzę ci, co mi kiedyś powiedział pewien człowiek, który uważał się za mędrca.

Prokurator generalny nie chciał słuchać. Zaczął się już brzydzić tym człowiekiem. Przedtem, jako zwykły obywatel, nienawidził go w sposób obiektywny, pożyteczny. Nienawiść do Petkanowa była dla opozycjonistów konstruktywną, jednoczącą siłą. Odkąd jednak zobaczył go z bliska, rozmawiał z nim i walczył, uczucia się zmieniły. Nienawiść stała się osobista, wściekła, snobistyczna, przeżerała go na wskroś. Dawny wstyd, obecne obrzydzenie, przyszły strach: mieszanka ta zaczęła trawić prokuratora. Zdawał się nienawidzić Petkanowa z taką siłą, z jaką niegdyś kochał swą żonę; były przywódca narodu zaczął jakby wypełniać emocjonalną pustkę, która

powstała w małżeństwie Solińskiego. Teraz czekał na jakiś wyświechtany frazes, który to bydlę w ludzkiej skórze zasłyszało od jakiegoś bohatera pracy socjalistycznej, ten natomiast zaczerpnął go lojalnie z dzieł zebranych eks-prezydenta.

- Był muzykiem - powiedział Petkanow. - Grał w Państwowej Orkiestrze Symfonicznej Radia i Telewizji. Córka mnie zabrała. Po koncercie przedstawiła mnie muzykom. Ładnie grali, więc spełniłem za nich toast. To było w Rewolucyjnej Sali Koncertowej - dodał ozdobny szczegół, który z jakiejś przyczyny rozsierdził Solińskiego jak ukąszenie gza. Po co on mi to mówi, chodziło mu po głowie pytanie. Kogo to, do cholery, obchodzi, w jakiej sali dobrze ci się słuchało muzyki? Kogo to obchodzi, co to za różnica? Wściekły, słuchał dalszego ciągu opowieści Petkanowa jak przez grube zasłony.

- W kilku słowach powiedziałem im o obowiązku walki politycznej, który spoczywa na sztuce, powiedziałem, że artyści muszą stanowić część wielkiego ruchu przeciw faszyzmowi i imperializmowi, wielkiego ruchu na rzecz socjalistycznej przyszłości. Zresztą możesz sobie mniej więcej wyobrazić, co powiedziałem - szczypta ironii uszła uwagi Solińskiego. - W każdym razie potem, gdy szedłem między członkami orkiestry, podszedł do mnie młody skrzypek i powiedział: „Towarzyszu Petkanow, lud nie dba o rzeczy wyższe. Lud dba tylko o kiełbasę”.

Petkanow podniósł wzrok, żeby zobaczyć reakcję Solińskiego, ale ten wyglądał, jakby ledwo kontaktował.

Wreszcie zaczął sprawiać wrażenie, że przychodzi do siebie, i

powiedział:

- Pewnie kazał go pan zastrzelić.

- Piotrze, jesteś taki staroświecki. Taki staroświecki w tym swoim krytykanctwie. Oczywiście, że nie kazałem go zastrzelić. Nigdy nikogo nie zastrzeliliśmy. - To się okaże, pomyślał prokurator, przekopiemy twoje obozy karne, przeprowadzimy sekcje zwłok, zmusimy twoich tajnych agentów, wszystko na twój temat wyśpiewają. - Nic z tych rzeczy. Powiedzmy jednak, że jego szanse awansu na szefa orkiestry trochę zmalowały po tej szczerzej wymianie poglądów.

- Jak się nazywał?

- Nie sądzisz chyba, że po tylu latach... W każdym razie chodzi mi o taką rzecz: nie zgodziłem się z tym dość cynicznym młodym człowiekiem, ale też to, co powiedział, dało mi do myślenia. Potem co jakiś czas powtarzałem sobie: „Towarzyszu Petkanow, prócz kiełbasy ludzie potrzebują również rzeczy wyższych”.

- No i? - Na tym polegała mądrość z Rewolucyjnej Sali Koncertowej. Ktoś wybąka za kulisami kilka odważnych słów protestu i jeśli go nie zastrzelą, to ten, ten... przerobi je na jakąś bzdurną, banalną maksymę.

- No i przekazuję wam tylko pożyteczną poradę. Bo widzisz, my prócz kiełbasy dawaliśmy im też rzeczy wyższe. Wy nie wierzycie w wyższe rzeczy, nie dajecie im też nawet kiełbasy. W sklepach nic nie ma. Więc co wy im w ogóle dajecie?

- Dajemy im wolność i prawdę. - Brzmiało to w jego ustach



pompatycznie, ale skoro w to wierzył, to czemu miałby tego nie wykazać?

- Wolność i prawdę! - odparł drwiąco Petkanow. - Więc to są wasze wyższe rzeczy! Dajcie kobietom wolność wyjścia z kuchni, pomaszerowania pod parlament i wypowiedzenia tej prawdy, że w sklepach za nic nie można dostać kielbasy. Taka jest ich prawda. Ty to nazywasz postępem?

- Dojdziemy i do kielbasy.

- Hmm. Hmm. Wątpię. Śmiem wątpić, Piotrze. Proszę ja ciebie, w mojej wiosce był pewien ksiądz - obawiam się, że mógł zostać zabity, kręciło się tam wtedy tyle elementu przestępczego, że nie zdziwiłbym się - i ten ksiądz z mojej wioski mawiał coś takiego: „Nie dostaniesz się do nieba za pierwszym skokiem”.

- Dokładnie.

- Nie. Piotrze, źle mnie zrozumiałeś. Nie mówię o was. Wy i wam podobni skakaliście już wiele razy. Przez wiele wieków. Hyc, hyc, hyc. Ja mówię o nas. My skakaliśmy dopiero raz.

Charakter człowieka. Może na tym polegał jego błąd, jego... tak, jego burżuazyjno-liberalne wypaczenie. Naiwna nadzieja, że „zglebi” Petkanowa. Uparta, lecz głupia wiara, że wykonywanie władzy określa charakter jednostki i dlatego badanie charakteru jest konieczne i przydatne. Kiedyś na pewno była to prawda, sprawdziło się to na Napoleonie, cesarzach rzymskich, carach i dziedzicach korony. Ale czasy się zmieniły.

Zabójstwo Kirowa, to była przełomowa data. Zabity strzałem w plecy z nagana w leningradzkim Komitecie Partyjnym 1 grudnia 1934 roku. Przyjaciel i sojusznik Stalina, towarzysz Stalina. Dlatego, jak mawialiśmy w swej niewinności, jedną jedyną osobą na świecie, która na pewno nie mogła sobie tego życzyć, a co dopiero nakazać wykonania zamachu, był sam Stalin. Wedle wszelkich znanych kryteriów politycznych i osobistych było to niemożliwością. Wydany przez Stalina nakaz zabójstwa Kirowa był nie tylko sprzeczny z charakterem wodza, lecz przekraczał nasze rozumienie tego, co się na charakter człowieka składa. I właśnie o to chodziło.

Weszliśmy w epokę, w której „charakter” człowieka jest pojęciem mylącym. Charakter został wyparty przez ego, a wykonywanie władzy jako odzwierciedlenie charakteru człowieka zostało zastąpione psychopatycznym trzymaniem się u władzy wszelkimi dostępnymi środkami i wbrew wszelkim regułom prawdopodobieństwa. Stalin kazał zabić Kirowa: witamy we współczesnym świecie.

Soliński stwierdził, że wniosek ten jest dla niego przekonujący, dopóki siedzi w zaciszu swego gabinetu i wygląda za okno na północ lub przesłuchuje szafę biblioteczną; jednakże próba widzenia Petkanowa jako złowrogiego bezładu elektronów krążących w jakiejś potwornej próżni nie wytrzymała dwóch minut obecności byłego prezydenta. Starszy pan ze strażniczką w tle wstawał z krzesła i sprzeczał się, wypierał, kłamał, udawał niezrozumienie, po czym wszystkie podstawowe uczucia prokuratora generalnego - ciekawość,

oczekiwanie, zdziwienie - wracały na swoje miejsce. Znow doszukiwał się w tym wszystkim charakteru człowieka, staromodnego, dającego się wytłumaczyć charakteru. To tak, jakby sam kodeks karny wymagał logicznych motywów i wynikłych z nich działań; sala sądowa nie dopuszczała żadnej manipulacji żelaznym prawem przyczyny i skutku.

Wczesnym popołudniem czterdziestego dnia Sprawy I z Ustawy Karnej Piotr Soliński uznał, że nadeszła właściwa chwila. Kolejna linia dochodzenia, dotycząca wykorzystywania służbowej benzyny do celów prywatnych, rozmyła się w pyskówkach i ułomności pamięci.

- Teraz zobaczymy - powiedział, biorąc głęboki wdech śpiewaka operowego i podnosząc kolejną teczkę. Podczas przerwy obiadowej schlapał sobie twarz wodą i jeszcze raz się uczesał. W lustrze wyglądał na zmęczonego. I był zmęczony, pracą, małżeństwem, politycznym niepokojem, lecz przede wszystkim codziennym przebywaniem w towarzystwie Stojko Petkanowa. Jakże musiało być kuszące dla spolegliwych członków Politbiura, żeby się z nim we wszystkim zgadzać i zaoszczędzić w ten sposób energii. Usiłował teraz zapomnieć o swojej żonie, o generale brygady Ganinie, o kamerach telewizyjnych i o wszystkim, co sobie obiecał, zanim zaczął się proces. Koniec ze szlachetnym prawnikiem, który cierpliwie dobywa prawdę jak liść mniszka spośród kłów kłamstwa. Może i to go zmęczyło.

- Dobrze, panie Petkanow. Przez te kilka tygodni znacznie pan nam przybliżył swą metodę obrony. Obrony przeciw wszystkim

zarzutom i oskarżeniom. Jeśli stało się coś niezgodnego z prawem, pan o tym nie wiedział. A jeśli pan o czymś wiedział, to automatycznie było to zgodne z prawem.

Petkanow uśmiechnął się, gdy panie mecenas wstały, by wnieść protest. Machnął na nie ręką, by usiadły.

- Nie zrobiłem niczego bez zatwierdzenia przez Komitet Centralny Partii - powtórzył po raz setny - i dekretu Rady Ministrów. Wszystko, co zrobiłem, było najzupełniej zgodne z prawem.

- Bardzo dobrze. Zajmijmy się zatem pańskimi poczynaniami w dniu 16 listopada 1971 roku.

- Skąd mam...

- Nie oczekuję od pana, by pan pamiętał, gdyż pańska pamięć, jak mieliśmy okazję się przekonać, umie przywołać tylko te zdarzenia, które rzekomo nie wykraczają poza prawo. - Soliński wyjął dokument, który dostał od Ganina, i patrzył na niego przez chwilę. - Dnia 16 listopada 1971 roku zezwolił pan na użycie wszelkich dostępnych środków przeciwko oszczercom, sabotażystom i elementom antypaństwowym. Czy byłby pan łaskaw wyjaśnić, co mamy rozumieć przez zwrot „wszelkie dostępne środki”?

- Nie wiem, o czym pan mówi - odparł spokojnie Petkanow. - Poza tym, że wyraźnie popiera pan sabotaż i działania antypaństwowe.

- Podpisał pan tego dnia notę służbową zezwalającą na eliminację przeciwników politycznych. Do tego odnosi się zwrot „wszelkie dostępne środki”.

- Nie wiem, o jakim dokumencie pan mówi.

- Proszę kopię, a tu jest egzemplarz dla sądu. Jest to nota służbowa z kartotek Urzędu Bezpieczeństwa z podpisami oskarżonego i zmarłego generała Kalina Stanowa.

Petkanow ledwie spojrział na dokument.

- Dla mnie to nie jest podpis. Dla mnie to jest parafka, w dodatku prawdopodobnie podrobiona.

- Zezwolił pan tego dnia na stosowanie wszelkich dostępnych środków - powtórzył Soliński. - Zezwolenie to umożliwiło Urzędowi Bezpieczeństwa i służbom wywiadowczym podjęcie działań przeciwko członkom opozycji w kraju i zagranicą. Przeciwko takim osobom, jak komentator radiowy Symeon Popow, który 21 stycznia 1972 roku zmarł w Paryżu na zawał serca, oraz dziennikarzowi Mirosławowi Georgiewowi, który zmarł na zawał serca w Rzymie, 15 marca tego samego roku.

- O, a odkąd to ja odpowiadam za zawały serca wszystkich starych ludzi na całym świecie? - spytał rubasznie Petkanow. - Wystraszyłem ich na śmierć?

- W latach poprzedzających wydanie zezwolenia w listopadzie 1971 roku, specjalny wydział techniczny Służby Bezpieczeństwa przy ulicy Reskowa przeprowadzał eksperymenty zmierzające do wytworzenia środków farmakologicznych, które podane doustnie lub dożylnie wywoływałyby objawy zawału serca. Środki te stosowano w celu zakamuflowania faktu, że ofiara naprawdę zmarła na skutek wcześniejszego lub równoczesnego umyślnego otrucia.

- Teraz się mnie oskarża o produkcję leków? Nie mam nawet

honorowego dyplomu z chemii.

- W tym samym okresie - ciągnął Soliński, czując gwałtowne ożywienie w sobie i potęgującą się ciszę wokół siebie - Służba Bezpieczeństwa, o czym można się przekonać z licznych not służbowych, była coraz bardziej zaniepokojona kapryśnym zachowaniem i osobistymi ambicjami ministra kultury.

Soliński przerwał i zbierał się w sobie, gdyż wiedział, że teraz nadeszła jego chwila. Pracował na bogatej mieszance prawomyślności i pasji.

- Anna Petkanowa, 1937-1972 - dodał niepotrzebnie, jakby cytował z pomnika. - W raportach Służby Bezpieczeństwa często można znaleźć stwierdzenia, że jej prywatne i publiczne zachowania noszą wszelkie znamiona działalności antysocjalistycznej. Nie zwracał pan uwagi na ich raporty. Co więcej, wielkie zaniepokojenie wywołała w nich informacja, że zamierza pan mianować panią minister kultury swym oficjalnym następcą. A uzyskali tę informację - dodał niedbale prokurator generalny - dzięki założonemu w pałacu prezydenckim podsłuchowi. W dossier Anny Petkanowej pojawia się element zatroskania o rosnący wpływ, jaki na pana wywierała. Wpływ antysocjalistyczny, jak to określali.

- Bzdura - mruknął były prezydent.

- Dnia 16 listopada 1971 roku zezwolił pan na usunięcie opozycji politycznej - powtórzył Soliński. - Dnia 23 kwietnia 1972 roku pani minister kultury, która wcześniej cieszyła się doskonałym zdrowiem, zupełnie nieoczekiwanie i w zaskakująco młodym wieku

zmarła na zawał serca. W okresie tym szeroko informowano, że bezzwłocznie zostali wezwani czołowi kardiolodzy w kraju, którzy zrobili wszystko, co było w ich mocy, lecz ich wysiłki spełzły na niczym. A spełzły na niczym z prostej przyczyny: u Anny Petkanowej nie wystąpił zawał serca. Panie Petkanow - ciągnął prokurator generalny twardym głosem, aby powstrzymać zrywające się już na nogi panie mecenas - nie wiem i szczerze mówiąc nie dbam o to, co pan wiedział, a czego pan nie wiedział. Usłyszeliśmy jednak z pańskich własnych ust, że w świetle wprowadzonej przez pana Nowej Konstytucji z 1971 roku wszystko, na co pan zezwolił, było automatycznie i w zupełności zgodne z prawem. Zarzut, który wnoszę, nie dotyczy jedynie pana jako jednostki, lecz całego prawnie i moralnie skażonego ustroju, na którego czele pan stał. Zamordował pan swą córkę, panie Petkanow, i stoi pan przed nami jako przedstawiciel i naczelny zwierzchnik ustroju politycznego, w którym jest „najzupełniej zgodne z prawem”, by użyć pańskiego ulubionego zwrotu, w którym jest „najzupełniej zgodne z prawem”, by głowa państwa wydała zezwolenie na zabójstwo swego własnego ministra, w tym przypadku Anny Petkanowej, pełniącej obowiązki, ministra kultury. Panie Petkanow, zabił pan swą córkę, toteż wnoszę o uzupełnienie listy zarzutów o morderstwo.

Piotr Soliński usiadł przy akompaniamencie nie licujących z charakterem miejsca głośnych braw, tupania nogami, walenia pięściami w ławki, a nawet ochrypyłych gwizdów. To była jego chwila, chwila, która będzie trwać wiecznie. Przyszpilił bestię widłami do

ziemi, po jednym zębie z każdej strony szyi. Patrzcie, jak się wiję i skowyczy, pluje i szczyrzy kły, unieruchomiony na widoku publicznym, obnażony, pogwałcony, napiętnowany. To była jego chwila, chwila, która będzie trwać wiecznie.

Reżyser telewizyjny śmiało podzielił ekran na dwie połowy. Po lewej, na siedząco, prokurator generalny, oczy wielkie i triumfujące, podbródek wzniesiony, trzeźwy uśmiech na ustach; po prawej, na stojąco, były prezydent w szponach wściekłości, tłukący pięścią w wyściełaną barierkę, ujadający na swych adwokatów, grożący palcem dziennikarzom, świdrujący wzrokiem przewodniczącego rozprawy i jego ospałych ławników w czarnych garniturach.

- Nadaje się do telewizji amerykańskiej - skomentowała Maria, gdy zamknął za sobą drzwi mieszkania, z aktówką w ręce.

- Podobało ci się? - Nadal czuł w piersiach nadmiar tlenu po pokonaniu bestii, a w uszach pobrzmiwał mu słodki ryk tłumu. Czuł, że wszystkiemu teraz podoła. Czym jest sarkazm jego żony, kiedy on poskromił potężnego niegdyś dyktatora? Potrafi przetworzyć wszystko za pomocą słów, wyprostować swe życie rodzinne, osłodzić kwaśną dezaprobatę Marii.

- To było ohydne i nieuczciwe, zrobiłeś z prawa farsę i zachowywałeś się jak alfons. Spodziewam się, że dziewczyny pchały ci się potem do szatni i wciskały ci numery telefonów?

Piotr Soliński wszedł do swego małego gabinetu i spojrzął przez mgłę i dymy na pomnik Wiekuistej Wdzięczności. Tego wieczora



złożony bagnet nie odbijał promieni słonecznych. To jego zasługa. Stłumił pożogę. Teraz mogą już wywieźć Aloszę, przerobić go na czajniki i stalówki do piór. Albo oddać młodym rzeźbiarzom, żeby ukształtowali go w nowe pomniki ku czci nowych swobód.

- Piotrze. - Stała za nim i położyła mu dłoń na ramieniu. Nie umiał stwierdzić, czy są to przeprosiny czy pocieszenie. - Biedny Piotr - dodała, co wykluczało przeprosiny.

- Czemu biedny?

- Bo nie potrafię cię już kochać, a po tym, co się dzisiaj stało, nie wiem nawet, czy potrafię cię szanować. - Piotr nic nie odpowiedział, nie odwrócił nawet głowy. - Ale inni będą cię bardziej szanowali, może nawet będą cię kochali. Angelina zostanie oczywiście ze mną.

- Ten człowiek był tyranem, mordercą, złodziejem, kłamcą, malwersantem, moralnym zbrodźcą, najgorszym zbrodniarzem w historii naszego narodu. Wszyscy to wiedzą. Mój Boże, nawet ty zaczynasz podejrzewać, że to prawda.

- W takim razie - odparła - nie powinno być kłopotów z udowodnieniem tego bez sprzedawania się w telewizji i fabrykowania fałszywych dowodów.

- Co masz na myśli?

- Piotrze, nie sądzisz chyba, że najgorszy zbrodniarz w historii naszego narodu podpisałby taki wygodny dla ciebie dokument, który Ganin dziwnym trafem znalazł akurat w momencie, gdy oskarżenie nie odnosiło spodziewanych sukcesów?

Miał to oczywiście przemyślane, toteż wiedział, jak się bronić.

Jeżeli Petkanow nie podpisał noty, musiał podpisać coś podobnego. Nadajemy tylko konkretny kształt poleceniu, które musiał wydać przez telefon. Albo przypieczętować uściskiem dłoni, skinieniem głowy, znaczącym brakiem dezaprobaty. Dokument jest prawdziwy, nawet jeśli jest podrobiony. A nawet jeśli nie jest prawdziwy, jest konieczny. Każda kolejna wymówka była słabsza, choć zarazem bardziej brutalna.

W ponurym milczeniu małżeńskiej rozpaczycy poczuł, że niepowstrzymanym strumieniem ciśnie mu się na usta sarkazm.

- Bądź co bądź nasze prawo funkcjonuje nieco lepiej niż stalingradzkie NKWD w 1937 roku.

Maria zdjęła mu dłoń z ramienia.

- To jest proces pokazowy, Piotrze. Tyle że współczesna wersja. Proces pokazowy, nic więcej. Ale jestem pewna, że będą bardzo zadowoleni. - Po czym wyszła z pokoju, a on dalej patrzył w mgłę i dymy, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę, że wyszła także z jego życia.

Ten kretyn prokurotek jeszcze nie wie, z kim ma do czynienia. Jeśli nie złamały go ciężkie roboty Warkowej, a przecież nawet najwięksi twardziele pośród towarzyszy robili w majtki na samą myśl o wizycie Żelaznej Gwardii, nie pobije go jakiś żaloszny prawnik z sianem w głowie, który był piąty w kolejce do tej posady. On, Stojko Petkanow, jednym ruchem posłał jego ojca na zieloną trawkę, wykopał go z Politbiura stosunkiem głosów dziesięć do jednego, a

potem miał na niego oko, gdy ten sobie hodował pszczołki. Co mu zatem może zrobić ten jego pozbawiony jaj synalek, który włązi do sądu z głupim uśmiechem na twarzy i kupą spreparowanych dowodów?

Oni wszyscy dali się nabrać temu absurdalnemu złudzeniu, że wygrali. Nie że wygrali proces, który tyle się liczył, co nic, bo ustalili werdykt dwie sekundy po sporządzeniu aktu oskarżenia, tylko że wygrali historyczny bój. Bardzo się przeliczyli. - Nie dostaniesz się do nieba za pierwszym skokiem. - Patrzcie, ile razy już skakali, oni i im podobni. Hyc, hyc, hyc, jak cętkowana ropucha w brudnym stawie. My mieliśmy dopiero jeden skok, i jaki był potężny, zwłaszcza jeśli zważyć, że cały proces zaczął się nie tak, jak przewidział Marks, lecz w złym kraju i w złym czasie, kiedy wszystkie siły kontrrewolucyjne sprzęgły się, żeby zdusić go w zarodku. Potem trzeba było zbudować rewolucję w warunkach ogólnoświatowego kryzysu gospodarczego, bronić jej w krwawej wojnie z faszyzmem, potem znów bronić przeciwko amerykańskim bandytom z ich wyścigiem zbrojeń, a mimo to... a mimo to w zaledwie pięćdziesiąt lat mieliśmy pół świata po naszej stronie. Jaki potężny pierwszy skok!

A teraz kapitalistyczne plugastwo i gazetowe dziwki plują oszczerstwami o „nieodwracalnym upadku komunizmu” i „wewnętrznych sprzecznościach ustroju”, z uśmiechem wyrzucają z siebie zwroty, które od dawna stosowały się - i nadal stosują - do kapitalizmu. Przeczytał tekst burżuazyjnego ekonomisty Fischera, który twierdził, że „upadek komunizmu oznacza oczyszczenie

kapitalizmu”. Zobaczymy, Herr Fischer. Tak naprawdę to na historycznie krótką chwilę stary ustrój zyskał szansę, by wykonać ostatni mały podskok w brudnym stawie z ropuchami. Lecz potem, co nieuchronne, duch socjalizmu otrząśnie się znowu i w naszym następnym skoku wdeptamy kapitalistów w muł, aż wydadzą pod naszymi podszwami ostatnie tchnienie.

Pracowaliśmy i błędziliśmy. Pracowaliśmy i błędziliśmy. Być może prawda jest taka, że za wiele chcieliśmy osiągnąć, myśleliśmy, że w ciągu dwóch pokoleń potrafimy wszystko zmienić, łącznie ze strukturą społeczeństwa i naturą jednostki. On sam miał zawsze więcej wątpliwości niż niektórzy inni towarzysze i stale ostrzegał przed krzewieniem się elementów burżuazyjno-faszystowskich. W ostatnich latach okazało się, że miał słusność, gdyż na powierzchnię ponownie wypłynęły szumowiny społeczeństwa. Jeżeli elementy burżuazyjno-faszystowskie potrafiły przetrwać czterdzieści lat socjalizmu, jakże niespożycie silna jest w porównaniu z tym dusza socjalizmu.

Ruchu, któremu poświęcił swe życie, nie może zdmuchnąć kilku kupionych za garść dolarów oportunistów i jeden zbój na Kremlu. Ruch jest równie stary i równie silny jak duch człowieczeństwa. Już niedługo, bardzo niedługo, powróci, i to odrodzony. Może przyjdzie pod inną nazwą, pod innym sztandarem, lecz ludzie zawsze będą chcieli kroczyć tą drogą, tą zdradliwą stromą drogą przez rzekę kamieni, przez gęstą chmurę, wiedzą bowiem, że u końca drogi ujrzą wierzchołek góry skąpany w promieniach słonecznych. Ta chwila jest

powszechnym marzeniem ludzkości. Ramiona znów się połączą. Zabrzmi nowa pieśń - już nie „Krocząc czerwonym szlakiem”, jak na górze Rykosza, ale zaintonują tę nową pieśń na starą melodię. I zbiorą się wszyscy, by wykonać ten potężny drugi skok. I ziemia zadrży, a wszyscy kapitaliści, imperialiści, ekologiczni faszyści, zdrajcy, szumowiny, odszczepieńcy, pieprzeni intelektualiści, prokuratorci i Judasze z ptasim łajnem na czerepach posrają się potężnie, ale ostatecznie.

- Nazywam się Stojko Petkanow.

Czterdziestego piątego dnia procesu był prezydent wystąpił przed sądem w swej własnej obronie. Stał oparty dłonią o wyściełaną barierkę, niska, krapa postać, głowa wzniesiona, szczęki zaciśnięte, i przez przydymione okulary sprawdzał, na której jest kamerze. Odchrząknął i zaczął od nowa, donośniej, wyrazistym głosem.

- Nazywam się Stojko Petkanow. Zostałem udekorowany Wielkim orderem „El Libertador” przez Republikę Argentyny. Wielką Gwiazdą Orderu Zasługi przez Republikę Austriacką. Wielkim Orderem Leopolda przez Belgię. Wielkim Orderem Cruzeiro do Sul National przez Brazylię. Wielkim Krzyżem Walecznych przez Republikę Burundi.

[*- Nie do wiary.*]

- Republika Burundi przyznała mi także Wielką Wstęgę Orderu Narodowego.

[*- Żeby mu brzuch nie wypadł.*]

- Jestem kawalerem Wielkiego Krzyża Zasługi z Kamerunu. Zostałem uhonorowany medalem pamiątkowym z okazji Trzydziestej Rocznicy Powstania Majowego Ludu Czechosłowacji. Wielkim Krzyżem Zasługi przez Republikę Środkowej Afryki. Orderem Boyaca przez Kolumbię. Wielkim Krzyżem Zasługi przez Ludową Republikę Konga. Orderem Jose Marti przez Republikę Kubańską. Wielką Wstęgą Orderu Makariosa przez Cypr.

[ - *Żeby mu brzuch nie wypadł.* ]

- Orderem Słonia przez Danię. Posiadam tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Narodowego w Ekwadorze. Zjednoczona Republika Arabska przyznała mi Wielki Order Nilu. Zostałem uhonorowany orderem Wielkiego Krzyża Białej Róży przez Finlandię. Wielkim Krzyżem Legii Honorowej przez Francję. Także medalem pamiątkowym Georges'a Pompidou. Posiadam również tytuł doktora *honoris causa* uniwersytetu w Nicei.

[ - *Kogo zerznął we Francji?*

*Wszystkich. De Gaulle'a. Giscarda. Mitteranda.* ]

- W stulecie Senatu Francji przyznano mi Złoty Medal Senatu i Pamiątkową Skrzynię. Zostałem udekorowany Wielkim Krzyżem Orderu Gwiazdy Równikowej przez Gabon. Orderem Karola Marksa przez Niemiecką Republikę Demokratyczną.

[ - *Zerznął Honeckera.*

- *Zerznął Karola Marksa.*

- *Przestańcie pieprzyć.* ]

- Wielkim Krzyżem Orderu Zasługi przez Republikę Federalną

Niemiec. Orderem Gwiazdy przez Ghanę. Wielkim Krzyżem Orderu Zbawiciela przez Grecję. A także Złotym Medalem miasta Ateny. Wielkim Krzyżem Orderu Narodowego „Za Wierność Ludowi” przez Republikę Gwinei.

[*- Wierność ludowi!*

- *Mieszkańcy Gwinei słyną z poczucia humoru, Dymitrze.]*

- Orderem Pahlawiego ze Wstęgą przez Iran. Orderem „Wielkiej Podwiązki Zasłużonego dla Republiki” przez Włochy. Także Złotym Medalem Aldo Moro. Także Pokojową Odznaką Simba. Złotym Medalem Leonarda da Vinci I klasy przez Instytut Stosunków Międzynarodowych w Rzymie. Także Złotą Odznaką Piemonckiej Junty Regionalnej. Wielkim Krzyżem Orderu Narodowego przez Wybrzeże Kości Słoniowej. Wstęgą Al-Husseina Bin-Ali przez Jordanię. Orderem Sztandaru Narodowego I klasy przez Koreańską Republikę Narodową. Wielkim Orderem Mubaraka przez Kuwejt. Także Srebrną Odznaką uniwersytetu w Kuwejcie. Orderem Zasługi przez Liban. Wielką Wstęgą Orderu Pionierów przez Republikę Liberii.

[*- Żeby mu brzuch nie wypadł.]*

- Wielkim Orderem Mahammaddiego przez Maroko. Wielką Wstęgą Zasłużonych dla Narodu przez Mauretanię. Medalem „Zasłużony dla Pokoju Światowego” przez Mauritius. Wielką Wstęgą meksykańskiego Orderu Orła Azteków. Jubileuszowym Złotym Medalem z okazji piątej rocznicy wyzwolenia Mozambiku. Orderem św. Olafa przez Norwegię. Medalem miasta Amsterdam. Orderem

Nishan-i-Pakistan. Także pakistańskim Medalem Jubileuszowym Quaid-l-Azam. Wielkim Krzyżem Orderu Słońca przez Peru. Posiadam także tytuł doktora *honoris causa* Akademii Górniczo-Hutniczej w Peru. Zostałem uhonorowany orderem Sikutana I klasy przez Filipiny. Wielkim Krzyżem Orderu Santiago przez Portugalię. Orderem Jeździeckim przez San Marino. Wielkim Krzyżem Narodowego Orderu Lwa przez Senegal. Wielką Wstęgą Omaidów przez Syryjską Republikę Arabską.

[ - *Nic nie mówiłem.* ]

- Gwiazdą Orderu Somalii z Wielką Wstęgą.

[ - *FFfwwwfff.* ]

- Orderem Zasług Obywatelskich ze Wstęgą przez Hiszpanię. Orderem Honorowym przez Sudan. Królewskim Orderem Serafinów przez Szwecję. Wielką wstęgą Orderu Wyzwolenia Turcji. Dyplomem Honorowego Obywatela i Złotym Kluczem miasta Ankara. Wielkim Krzyżem Orderu Łaźni przez Wielką Brytanię.

[ - *Przerznął królową angielską.* ]

- *No. W łaźni.*

- *Dla kraju gotów był na wszystko.* ]

- Orderem Lenina przez ZSRR.

[ - *To mi mowa. Lenina naprawdę przerznął.* ]

- *Czy babcia o tym wie, Stefanie?*

- *I Stalina.*

- *I Chruszczowa.*

- *I Breżniewa.*



- *Wiele razy. I Andropowa.*
- *I... jak się nazywał ten drugi skurwiel?*
- *Czernienko?*
- *I Czernienkę.*
- *Gorbaczowa nie przerznął.*
- *Gorbaczow nie chciał się rznąć. Zwłaszcza po innych. Żeby nie złapać jakiegoś syfa.*

- *Ciekawe, czy królowa angielska złapała.*

- *Nie, przecież rznąli się w łaźni.]*

- Także Jubileuszowym Medalem „Dwudziestolecia Zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Narodowej”. Oraz Medalem Stulecia Urodzin Lenina. Oraz Jubileuszowym Medalem „Trzydziestolecia Zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Narodowej”. Orderem „El Libertador” przez Wenezuelę. Wielką Wstęgą Zasłużonych dla Narodu przez Wenezuelę. Wielką Wstęgą Zasłużonych dla Narodu przez Górną Wolę. Orderem Wielkiej Gwiazdy przez Jugosławię. Oraz Odznaką Pamiątkową przez miasto Belgrad. Wielką Wstęgą Narodowego Orderu Lamparta przez Zair. Jestem komandorem Orderu „Dla Miłujących Pokój” przyznawanego przez Zambię: Udekorowany zostałem także...

[*- Także!*]

- ...Jubileuszowym Medalem Apimondii. Złotym Medalem Feryderyka Joliot-Curie przez Światową Radę Pokoju. Jubileuszowym Medalem Światowej Federacji Zjednoczonych Miast. Srebrnym Medalem Jubileuszowym z okazji Dwudziestopięciolecia Organizacji

Narodów Zjednoczonych. Złotym Medalem Norberta Wienera. Złotym Medalem ze Wstęgą i Baretką przez Instytut Nowego Międzynarodowego Porządku Ekonomicznego. Wyróżnieniem „Człowiek Roku 1980” za działalność na rzecz pokoju.

*[- Przerznął cały świat.*

*- Nie przerznął Izraela. Nie przerznął Stanów.*

*- Francja wszystkim się daje przerznąć.*

*- Przerznął królową angielską. Tego nie mogę przeboleć.*

*- To te wszystkie ordery i wstęgi, które miał na sobie. Nie mogła się zorientować, co jest pod spodem.*

*- Ale chyba do kąpieli zdejmował.*

*- Może trzymał na sobie do ostatniej chwili, a potem, ziuuuuuut, za późno, Wasza Wysokość.*

*- Przerznął cały świat.*

*- A świat przerznął jego. Świat przerznął nas.*

*- Głupi jesteście, chłopcy. Ale najgorsze, że macie rację.*

*- Jesteśmy głupi, ale mamy rację.*

*- O co ci chodzi, Wiero?*

*- Ci dwaj w kółko gadają, że zostaliśmy przerżnięci. I zostaliśmy, wbrew naszej woli, raz po raz. Cały kraj. Potrzeba nam terapii. Myślicie, że można poddać terapii cały kraj?*

*- Nie da się. Trzeba po prostu być przygotowanym, że teraz przerżnie nas kto inny.*

*- No, wujek Sam i jego gwiazdzisty rycerz.*

*- On przynajmniej daje prezenty. Paczkę Marlboro.*

- *A potem cię przerżnie.*
- *To lepiej, niż zostać przerżniętym przez Breżniewa.*
- *Wszystko jest lepsze, niż zostać przerżniętym przez Breżniewa.*

*Właził z butami do łóżka. Zupełnie nie wiedział, jakie wrażliwe bywają dziewczęta.*

- *Boże, jacy wy jesteście cyniczni, chłopcy.*
- *Potrzeba nam terapii, Wiero, na tym polega problem.*
- *A może lepiej jeszcze jedno piwo?*
- *Cii. Patrzcie na ten kawałek.]*

- Urodziłem się sierotą. Wychowałem się za faszystowskiej monarchii. Przystąpiłem do Związku Młodzieży Komunistycznej. Byłem prześladowany przez burżuazyjno-obszarniczą policję. Siedziałem w więzieniu w Warkowej. „Kto przeszedł twardą szkołę Warkowej, ten nigdy nie wyrzeknie się sprawy socjalizmu i komunizmu”. Przełałem krew za mój kraj w walce z faszyzmem. Stałem u steru tego narodu przez trzydzieści trzy lata. Bezrobocie zostało zlikwidowane. Inflacja została naukowymi metodami powstrzymana. Faszyści zostali przepędzeni. Nic nie zakłócało pokoju. Wzrósł dobrobyt. Pod moim przewodem nasz kraj zyskał na znaczeniu międzynarodowym. I oto teraz znajduję się w przedziwnej sytuacji.

Nad kamerą II zapaliło się czerwone światło i Petkanow z gracją podstarzałego wujaszka odwrócił się, by nadal przemawiać bezpośrednio do narodu.

- *Znajduję się w sądzie. Jestem oskarżony o przysporzenie*

memu krajowi pokoju, dobrobytu i znaczenia międzynarodowego. Jestem oskarżony o wykorzenienie faszyzmu, likwidację bezrobocia, wybudowanie szkół, szpitali i elektrowni wodnych. Jestem oskarżony o bycie socjalistą i komunistą. Towarzysze, przyznaję się do winy.

Przerwał i chwilę błędził wzrokiem po sali.

- Towarzysze - powtórzył. - Tak, to jeszcze jedna dziwna rzecz, bowiem gdziekolwiek dziś spojrzę, wszędzie widzę dawnych towarzyszy. Ludzi, którzy ślubowali wierność partii, którzy podawali się za prawdziwych komunistów, którzy prosili partię o pomoc w karierze, których socjalizm wykształcił, oddział i wykarmił, lecz którzy dla własnej wygody i korzyści zdecydowali teraz, że wbrew temu, co kiedyś z dumą twierdzili, nigdy socjalistami i komunistami nie byli.

Cóż mi pozostaje, jak przyznać się do zarzutu, że poświęciłem swe życie poprawie losu robotników i chłopów naszego wielkiego narodu. I jak powiedziałem na początku tego... tego spektaklu telewizyjnego dla sieci amerykańskich, byłem tu już wcześniej. Chcę zakończyć nie własnymi słowami, lecz świadectwem innych. Chciałbym odczytać do protokołu następującego oświadczenia.

- Elżbieta II, królowa angielska: „My, Brytyjczycy, jesteśmy pełni podziwu dla pańskiej nieugiętej postawy wspierającej aspiracje narodowowyzwoleńcze tego kraju. Pańska osobowość światowej sławy męża stanu, panie prezydencie, pańskie doświadczenie i pańska rola na scenie międzynarodowej, cieszą się powszechnym uznaniem”.

- Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii...

Soliński skoczył na nogi.

- Panie przewodniczący, czy naprawdę musimy...

Petkanow przerwał mu w pół słowa, tak jak wiele razy uciszał jego ojca na posiedzeniach Politbiura. Zwrócił się ku ławie sędziowskiej z agresywną uprzejmością.

- Łaskawie udzielił mi pan godziny. Miałem nie wspominać o zawartej przez nas umowie. Miałem udawać, że tyle czasu mam ochotę mówić. Udzielił mi pan godziny. Pozwoli pan, że z tego skorzystam.

- Narzuciliśmy panu limit czasowy właśnie z powodu tego rodzaju zachowań - odparł sędzia. - Ma pan godzinę na wystąpienia i wywody związane ze sprawą.

- Ależ to właśnie robię. Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii... - Petkanow spojrzał wojowniczo na przewodniczącego, który niemrawo skinął głową, zdjął z ręki zegarek i położył przed sobą. - Margaret Thatcher: „Jestem pod ogólnym wrażeniem osobowości pana prezydenta, szczególnie jako przywódcy narodu pragnącego nawiązać współpracę z innymi narodami”.

- Richard Nixon: „Dzięki tak dogłębnemu zrozumieniu najistotniejszych problemów światowych pan Prezydent ma wielki wkład w rozwiązywanie najdotkliwszych problemów globalnych”.

- Prezydent Jimmy Carter: „Znaczenie pana Prezydenta na arenie międzynarodowej jest wyjątkowe. Pozycja pana Prezydenta i niezawisłość państwa czynią z jego kraju pomost między narodami o głęboko rozbieżnych celach i interesach oraz pomiędzy przywódcami,

którzy bez pośrednictwa pana Prezydenta być może nigdy nie doszliby do porozumienia”.

- Andreas Papandreu: „Pan Prezydent jest nie tylko wielkim przywódcą, wybitnym politykiem na skalę bałkańską i europejską, ale także jedną z czołowych osobistości na świecie”.

- Karol Gustaw XVI, król Szwecji: „Niejednokrotnie dowiódł pan, panie Prezydencie, swego czynnego, nieustrudzonego zaangażowania w sprawę odprężenia, zapewnienia wszystkim ludziom prawa do swobodnego decydowania o swoim losie, prawa do działania w swym własnym interesie przy wykorzystaniu całego potencjału - prawa do wolności od obcej ingerencji w sprawowaniu suwerennych rządów”.

- Valery Giscard d'Estaing: „Francja z radością wita głowę państwa, które odegrało tak ważną rolę w polityce zbliżenia i współpracy pomiędzy Europą Wschodnią i Zachodnią”.

- James Callaghan, premier Wielkiej Brytanii: „Doceniamy pański wkład w rozwój stosunków z krajami Trzeciego Świata, w wysiłki zmierzające do przyspieszenia rozwoju gospodarczego tych krajów i osiągnięcia stabilizacji ekonomicznej, którą zainteresowane są wszystkie kraje, także wysoko uprzemysłowione”.

- Giulio Andreotti: „Nie mam wątpliwości, iż rola pana Prezydenta w międzynarodowym życiu politycznym nie przestanie być pozytywna, jako że cieszy się on wysokim prestiżem i powszechnym uznaniem ze względu na swą dobrą wolę, umiłowanie pokoju i wkład w dzieło godzenia sprzecznych interesów”.

- Franz Josef Strauss: „Pan Prezydent ma olbrzymi wkład w dzieło utrzymania pokoju, dzięki roztropnej polityce otwartości, przenikliwej ocenie problemów oraz mądrym decyzjom i działaniom”.

- Leonid Breżniew: „Radzieccy ludzie pracy wysoko oceniają niezwykle zdobycze klasy pracującej, chłopskiej i inteligencji pracującej poczynione pod zaufanym przewodem Partii Komunistycznej, która zmieniła oblicze narodu. Z radością obserwujemy szybki proces rozwoju zachodzący w pańskiej Republice Ludowej, rozrost nowoczesnego przemysłu i dobrze zorganizowanego rolnictwa uspołecznionego. Działalność całej partii, na której czele pan stoi, prowadzi kraj ku nowym wyżynom budownictwa socjalistycznego”.

- Javier Perez de Cuellaer, Sekretarz Generalny ONZ: „Z wielką satysfakcją składam podziękowania panu Prezydentowi za jego czynny, konstruktywny i wszechstronny wkład we wszelkie dziedziny działalności ONZ”.

- Mario Soares: „Ze swej strony niezwykle wysoko cenię sobie wysiłki pana Prezydenta na rzecz budowania bezpieczeństwa europejskiego, pokoju i niezawisłości wszystkich narodów oraz nieingerencji jednych państw w wewnętrzne sprawy innych”.

- Księżę Norodom Sihanouk: „Pański socjalistyczny naród i jego umiłowany przywódca, tak wspaniale symbolizujący przywiązanie do idei sprawiedliwości, wolności, niezawisłości, pokoju i postępu, są zawsze po stronie narodów ciemionych, ofiar obcej agresji i bojowników o odzyskanie niepodległości”.

- Hu Yuobang, pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Chin: „Stoi pan na straży suwerenności państwowej i godności narodowej. W działalności międzynarodowej jest pan przeciwnikiem użycia siły, gwarantem pokoju światowego i postępu ludzkości”.

- Canaan Banana, prezydent Zimbabwe: „Zrozumiał pan, że niepodległość pańskiego kraju będzie niepełna, póki cała ludzkość nie zrzuci z siebie kajdan imperializmu i kolonializmu. Dlatego też pański kraj stoi na czele państw, które udzieliły nam wsparcia w walce o wyzwolenie narodowe. W chwilach najcięższych prób udzielił nam pan materialnego i moralnego wsparcia”.

- Mohammad Hosni Mubarak, prezydent Arabskiej Republiki Egiptu: „Ze swej strony odczuwam tę samą radość z łączących nasze kraje więzi, radość wypływającą z głębokiego zrozumienia pańskiej integralnej postawy, pańskiej mądrości, odwagi, szerokiej, całościowej wizji historii, pańskiego szczególnego poczucia odpowiedzialności, wyrastania ponad doraźne okoliczności i zrozumienia realiów epoki”.

*[- Wszystkich przerznął. Naprawdę wszystkich przerznął.*

*- Do rżnięcia trzeba dwojga.]*

- Ja sam tego wszystkiego o sobie nie twierdzę - ciągnął Petkanow. - Tak mówią inni, tak mówią osoby, które mają większy dystans, aby mnie osądzać.

Kiedy znalazłem się tutaj za pierwszym razem, w burżuazyjno-faszystowskim sądzie w Velpen, wytoczono przeciw mnie, podobnie



jak obecnie, zmyślane oskarżenia. Pan, panie profesorze prokuratorze, przypomniał mi na początku tego... widowiska, że jako szesnastoletni członek Związku Młodzieży Komunistycznej zostałem oskarżony o niszczenie własności publicznej i tym podobne bzdury. Wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę zostałem oskarżony o sam fakt bycia socjalistą i komunistą, o moje pragnienie, by ulżyć niedoli robotników i chłopów. Wszyscy to wiedzieli, burżuazyjno-obszarnicza policja, prokurator, sąd, ja sam i moi towarzysze. I wszyscy wiedzieli, że za to właśnie zostałem skazany.

- Dziś dzieje się tak samo. Wszyscy, każdy kto znajduje się w tej sali i kto ogląda to widowisko, wie, że wysunięte przeciwko mnie zarzuty to poręczna fikcja. Stałem u steru tego narodu przez trzydzieści trzy lata, byłem komunistą, ofiarowałem całe swoje życie dla ludu, dlatego muszę zostać uznany za zbrodniarza przez tych, którzy niegdyś składali te same obietnice i te same przyrzeczenia, lecz teraz im się sprzeniewierzyli. Prawdziwym zarzutem, o czym wszyscy wiemy, jest sam fakt, że jestem socjalistą i komunistą oraz że jestem z tego dumny. Nie owijajmy zatem w bawełnę, moi dawni towarzysze. Jeśli chodzi o prawdziwe oskarżenie, przyznaję się do winy. A teraz wydajcie wyrok, który i tak został już z góry ustalony.

Z ostatnim, agresywnym, uporczywym spojrzeniem na swych oskarżycieli Stojó Petkanow gwałtownie usiadł. Przewodniczący spojrzął na zegarek. Godzina i siedem minut.

Pod koniec lutego proces wszedł w fazę końcową. Słońce

zaczynało się przebijać przez zawisły nad miastem smog. Wkrótce przyjdzie marcowa wiosenka. Wiadomo, jaka z niej kapryśna starucha, trudno jej dogodzić, ale jej uśmiech zawsze obiecuje piękną pogodę.

Piotr Soliński kupił dwie marcenice - wełniane biało-czerwone frędzle. Kolory te strzegły przed złym, przynosiły szczęście i zdrowie. W tym roku Maria nie chciała jednak, żeby je wieszać.

- Powiesiliśmy zeszłego roku. Wieszaliśmy każdego roku.

- W zeszłym roku cię kochałam. W zeszłym roku cię szanowałam.

Piotr Soliński zadzwonił po taksówkę. Skoro tak, to tak. Na nową wolność składało się między innymi to, że nie trzeba udawać wdzięczności, iż poślubiło się córkę czołowego antyfaszysty. To ona powinna być wdzięczna jemu, zamiast szydzić z jego wystąpienia i nazywać go prawnikiem telewizyjnym. Choć sąd ostatecznie nie uwzględnił jego wniosku, by uzupełnić listę oskarżeń o morderstwo, Soliński dokonał wiele, bardzo wiele. Wszyscy mu to powtarzali. Jego *coup de théâtre* zasadniczo zmienił społeczny odbiór całej sprawy. W gazetach ukazywały się rysunki, na których występował jako święty Georgi zabijający smoka. Kobiety uśmiechały się do niego, nawet kobiety, których nie znał. Katedra prawa wydała na jego cześć uroczysty obiad. Krytykowała go jedynie Maria, redaktorzy „Prawdy” i autor anonimowej pocztówki, którą dostał parę dni wcześniej. Na kartce widniała dawna siedziba Partii Komunistycznej w Sliven, a tekst brzmiał po prostu: CHCEMY HASEŁ, NIE

## SPRAWIEDLIWOŚCI!

Poprosił taksówkarza, żeby go zawiózł na wzgórze na północy.

- Żegnamy się, szefie?

- Żegnamy? - Czy widać po nim, że właśnie pokłócił się z Marią?

- Z Aloszą. Podobno mają go wywieźć.

- Myśli pan, że to dobry pomysł?

- Towarzyszu szefie - powiedział ironicznie kierowca. Lekko odwrócił głowę w stronę swego pasażera, lecz Soliński widział z profilu tylko ogorzały kark, znoszoną czapkę i nie dopalony papieros.

- Towarzyszu szefie, teraz kiedy jesteśmy wolni i można mówić, co się myśli, pozwolę sobie pana poinformować, że gówno mnie to obchodzi.

Soliński kazał na siebie zaczekać i wysiadł. Przeszedł przez park i wspinał się na granitowe schody. Jeszcze przez jakiś czas Alosza będzie dzierzył swój błyszczący bagnet i kroczył z nadzieją w przyszłość; żołnierze z karabinami maszynowymi będą bronić wyznaczonych im pozycji. A potem? Czy coś stanie w miejscu Aloszy, czy też czas pomników już przeminął?

Piotr Soliński spojrzał w dół ku nagim kasztanowcom i lipom, topolom i orzechom, niecierpliwie wyczekującym pory kwitnienia liści. Na zachodzie widział górę Rykosza, miejsce młodzieńczej rapsodii (lub banalnego zmyślenia) Petkanowa. Na południu leżało opancerzone smogiem miasto, dodatkowo obwarowane betonowymi fortyfikacjami. Osiedle Przyjaźni I, Przyjaźni II, Przyjaźni III,

Przyjaźni IV... Może powinien zmienić mieszkanie, jak sugerowała Maria. Może napomknie coś na ten temat wiceministrowi budownictwa, który podobnie jak on wcześniej wstąpił do Partii Zielonych. To, że Maria się z nim nie przeprowadzi, nie oznacza, że on musi mieszkać w ohydnej klitce. Może sześć pokoi? Prokurator generalny musi czasem przyjmować w domu gości zagranicznych. No, a poza tym nie będzie wiecznie rozwiedziony.

Przypomniawszy sobie, jak stał tu z ojcem jako chłopiec, wyprężony na baczność, i patrzył jak ambasador radziecki składa wieniec i salutuje. Przypomniawszy sobie władcą postać Stojko Petkanowa. I Anny Petkowanej, z obrzmiałą twarzą, włosami upiętymi w kok. Przez następne dziesięć lat podkochał się z oddali w Ideale Młodzieży. Na zdjęciach w czasopismach wyglądała na kobietę z klasą. Interesowała się jazzem. Czy rzeczywiście została zamordowana? Czy kraj był aż tak wynaturzony? Czy człowiek jest zdolny do najgorszych rzeczy? Kto to potrafi powiedzieć? Stalin kazał zabić Kirowa: witamy we współczesnym świecie.

Schodząc po granitowych schodach, Piotr Soliński wyjął z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego dwie marcenice. Przeszedł przez wyliniały trawnik i pod przychylnym spojrzeniem miejskich ogrodników wsunął wełniane frędzle pod duży kamień. Na wsi jest taki zwyczaj. Za kilka dni trzeba zaglądać pod kamień. Jeśli będą mrówki, w gospodarstwie urodzą się tego roku jagnięta; robaki wróżą źrebięta i cielaki, pająki wróżą oślątka. Każde żywe stworzenie obiecuje płodność, nowy początek.

- Jak minął weekend, Piotrze? Wydarzyło się coś? Umysłowo chorzy zorganizowali protest przeciwko nowej konstytucji?

Ten człowiek był niespożyty. Nie dało się z nim porozumieć, taki był męczący. To pewnie przez to kwaśne mleko. Albo pelargonie pod łóżkiem. Długie i szczęśliwe życie: roślina stulatków. Może powinien kazać strażnikowi, żeby wyrzucił kwiat przez okno, gdy następnym razem Petkanow wyjdzie z celi.

Prokurator generalny nie miał już ochoty na przekomarzenie się. Rozprawa zakończyła się jego zwycięstwem, pozostał tylko wyrok. Dziwne, że oskarżony nie wykazał w stosunku do niego niechęci - a przynajmniej większej niż przedtem - po zarzutach na temat Anny Petkanowej. A może to jest właśnie znaczące.

- Pojechałem odwiedzić ojca - odparł Piotr Soliński.

- I jak się miewa?

- Jest umierający, już panu mówiłem.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Mimo wszystkich różnic między nami...

Soliński nie miał ochoty wysłuchiwać kolejnej groteskowej i wykoślawionej wersji dziejów swej rodziny.

- Rozmawialiśmy o panu - powiedział ostro. Petkanow spojrzał na niego wyczekującym wzrokiem człowieka nawykłego do pochlebstw. Zreflektował się jednak, gdy przeanalizował jego twarz: wychudzoną, srogą, postarzałą. Już nie można go nazwać chłoptysiem. - Mojemu ojcu zostało niewiele do powiedzenia, ale

chciał, żebym go wysłuchał. Powiedział, że gdy obaj byliście młodzi, naprawdę wierzył pan w sprawę. Powiedział też, cierpiał pan na obsesję władzy, ale że jedno drugiemu nie przeszkadzało. Zastanawiał się w którym momencie utracił pan wiarę. Zmartwiło go, że tak wcześniej, może po śmierci córki, ale może na długo, długo przedtem.

- Możesz powiedzieć swojemu ojcu, że nadal naprawdę wierzę w sprawę socjalizmu i komunizmu. Nigdy nie zszedłem z obranej drogi.

- W takim razie zainteresuje pana, co mi ojciec powiedział, zanim wyszedłem. Powiedział: „Mam dla ciebie zagadkę, Piotrze. Co jest gorsze - ktoś, kto nadal wierzy, mimo że rzeczywistość w jaskrawy sposób zadaje mu kłam, czy ktoś, kto tę rzeczywistość uznaje, lecz nadal twierdzi, że wierzy?”

Stojo Petkanow po raz pierwszy spróbował nie okazywać rozdrażnienia. Cały Soliński, wiecznie się bawi w pieprzonego intelektualistę. Jak na posiedzeniach KC - oni mają zatwierdzić kolejny plan gospodarczy, ministrowie martwią się, czy normy nie za wysokie, czy będzie lało w żniwa, czy kryzys bliskowschodni nie wpłynie na dostawy ropy od Mateczki Rosji, a stary Soliński nabija fajkę, odsuwa się z fotelem i pompatycznie snuje jakąś teoryjkę. - Towarzysze, wróciłem ostatnio do lektury... - uwielbiał ich zanudzać w ten sposób. Wróciłem do lektury! Czytać oczywiście trzeba, trzeba się uczyć, ale potem trzeba pracować, działać. Naukowe założenia socjalizmu były podane, wystarczyło je tylko zastosować. Oczywiście z uwzględnieniem lokalnych warunków. Kiedy jednak ustala się

termin ukończenia budowy elektrowni wodnej albo zastanawia, dlaczego chłopci z regionu północnowschodniego chomikują zboże, albo rozpatruje raport SB na temat mniejszości węgierskiej, to się, z przeproszeniem, panie towarzyszu pieprzony profesorze Soliński, nie wraca do żadnej lektury. Problem w tym, że Petkanow był zdecydowanie zbyt miękki, zbyt cierpliwy w stosunku do ojca Piotra. Trzeba było starego osła wysłać na wieś do pasieki o wiele lat wcześniej. Kiedy siedzieli razem w więzieniu w Warkowej, nie był z niego taki dumny i wyniosły teoretyk. Nie prosił policjantów, żeby mu pozwolili powrócić do jakiejś lektury, zanim przyłożył temu żelaznogwardziście, który się odłączył od reszty. W tamtych czasach Soliński nie patyczkował się faszystami.

Te przemyślenia prezydent zachował dla siebie. Powiedział tylko spokojnym głosem:

- Każdy człowiek ma swoje wahania. To normalne. Być może zdarzały się okresy, kiedy nawet ja traciłem wiarę, ale pozwalałem wierzyć innym. Czy ciebie byłoby na to stać?

- Prorok prostujący ścieżki Pana, w którego nie wierzy. Ksiądz ateista wiodący rzesze naiwnych istot do nieba.

- To twoje słowa.

- Jest winny, babciu.

Babka Stefana lekko poruszyła głową i spojrzała spod wełnianego beretu na twarz studenta. Głupia sikorka, z tym kretyńskim uśmiechem, zadziera dziobek na kolorowy portret W. I.

Lenina.

- Twojego ukochanego też uznali za winnego. Z rozpędu.
- No to jesteś zadowolony?

Sikorę zdziwiło to nagłe pytanie. Pomyślał przez chwilę i dmuchnął dymem papierosowym w założyciela państwa radzieckiego.

- Skoro już pytasz, to tak. Jestem w siódmym niebie.
- W takim razie szkoda mi cię.
- Dlaczego? - Chłopiec po raz pierwszy potraktował poważnie siedzącą pod portretem swego idola staruszkę. Ale ona odwróciła wzrok i uciekła we wspomnienia. - Dlaczego? - powtórzył.
- Broń Panie Boże, żeby ślepiec przejrzał na oczy.

Wiera, Atanas, Stefan i Dymitr wyłączyli telewizor i poszli na piwo. Usiedli w zadymionej kafejce, gdzie przed przemianami była księgarnia.

- Jak myślicie, ile dostanie?
- Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta.
- Nie, tego nie zrobią.

Na stole pojawiły się piwa. W milczeniu, z namaszczeniem wznieśli szklanki i stuknęli się. Za przeszłość, za przyszłość, za koniec, za początek. Każdy pociągnął uroczysty pierwszy łyk.

- No i jak, czy ktoś się tu czuje oczyszczony?
- Atanasie, jesteś strasznym cynikiem.
- Ja? Cynik? Jestem tak mało cyniczny, że chciałem, żeby go postawili pod ścianą i zastrzelili.



- Musiał być proces. Nie mogli po prostu powiedzieć, koniec z tobą, a ludziom powiemy, że jesteś chory. Tak robili komuniści.

- Ale przecież proces nie był w porządku, no nie? Tego, co on zrobił z krajem, nie da się określić jako zbrodnie. Powinno się powiedzieć więcej, że to nie przestępca, tylko człowiek, który niszczył wszystko, czego się tknął. My też niszczymy wszystko, czego się tkniemy. Ziemię, trawę, kamienie. Powinno się powiedzieć, że cały czas kłamał, automatycznie, programowo, odruchowo, i wszystkich nauczył tego samego; że ludzie stracili już zaufanie do siebie nawzajem; że zniszczył nawet słowa, które wychodzą z naszych ust.

- Moich nie zniszczył, ten skurwysyński pieprzony kutas.

- Atanasie, mógłbyś choć raz być poważny.

- Myślałem, że teraz już nie muszę.

- Jak to teraz?

- Gdy mamy wolność. Wolność od powagi. Jeśli nie chcesz być poważny, to nie musisz. Czy nie mam prawa do końca życia być frywolny?

- Atanasie, byłeś tak samo frywolny już przed przemianami.

- Wtedy to było w ramach działań antyspołecznych. Chuliganizmu. Teraz jest to moje konstytucyjne prawo.

- I o to walczyliśmy? Żeby Atanas miał prawo być frywolny?

- Może na razie to wystarczy.

Na dzień przed ogłoszeniem wyroku Sprawy I z Ustawy Karnej Piotr Soliński po raz ostatni przyszedł zobaczyć się z Petkanowem.

Starszy pan stał z nosem przy szybie wewnątrz namalowanego półkola. Strażnik został poinstruowany, że zakaz przekraczania półkola już nie obowiązuje. Jeśli chce, niech sobie podziwia widok. Niech sobie popatrzy na miasto, w którym się kiedyś panoszył.

Usiedli po przeciwnych stronach stołu, a Petkanow studiował decyzję sądu, jakby chciał się doszukać jakiejś nieprawidłowości. Trzydzieści lat wewnętrznego zesłania. Więcej i tak pewnie nie pożyje. Dobra osobiste zajęte na rzecz Skarbu Państwa. Skąd on to zna? Cóż, zaczął od niczego to i skończy z niczym. Wzruszył ramionami i odłożył dokument.

- Nie odebraliście mi medali i odznaczeń.

- Uznaliśmy, że może je pan zatrzymać.

Petkanow parsknął.

- A poza tym, jak się miewasz, Piotrze? - Uśmiechnął się szeroko do prokuratora jak szaleniec, jakby życie miało się dopiero zacząć, życie pełne przygód, pomysłów i zwariowanych przedsięwzięć.

- Jak się miewam? - Po pierwsze jestem wykończony. Jeżeli po zwycięstwie, po wyzwoleniu kraju, po wspaniałym sukcesie zawodowym czuje się takie zmęczenie, z kwaśnym żołądkiem i ciężką głową, jak wygląda zmęczenie po porażce? Pierwsze odczucie triumfu było teraz jak pomyje. - Jak się miewam? Skoro pan pyta, to mój ojciec umarł, moja żona chce rozwodu, a moja córka nie chce ze mną rozmawiać. To jak się mam miewać?

Petkanow znów pojaśniał uśmiechem, a na metalowych

oprawkach jego okularów zatańczyło światło. Był dziwnie pogodny. Stracił wszystko, a jednak był mniej pokonany niż ten starzejący się młody człowiek. Intelktualiści są żałośni, zawsze o tym wiedział. Młody Soliński pewnie się teraz załamie. Jakże gardził słabymi ludźmi.

- Cóż, Piotrze, powinieneś sobie powiedzieć, że w tych okolicznościach masz więcej czasu, by poświęcić się dziełu ocalenia narodowego.

Czy była to ironia? Czy też Petkanow próbował stworzyć między nimi jakąś więź, udzielając mu tego typu porad? Niejaką pociechą dla Piotra było, że nienawidził tego człowieka równie silnie jak dawniej. Wstał, lecz były prezydent nie uważał jeszcze rozmowy za skończoną. Na przekór swemu wiekowi błyskawicznie okrążył stół, uścisnął prokuratora za rękę, po czym ujął ją w swe pulchne łapy.

- Powiedz mi, Piotrze - odezwał się głosem sarkastycznym zarazem i przymilnym - czy ty uważasz mnie za potwora?

- Nie interesuje mnie ta kwestia. - Soliński chciał już wyjść.

- Powiedzmy tak: czy uważasz mnie za zwykłego człowieka, czy za potwora?

- Ani jedno, ani drugie. - Prokurator generalny głęboko westchnął przez nos. - Chyba uważam pana po prostu za gangstera.

Petkanow nieoczekiwanie roześmiał się.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie, Piotrze. Zadam ci teraz zagadkę, zamiast tej, którą zadał ci ojciec. Jestem potworem albo nie. Słusznie? Jeżeli nie jestem to muszę być kimś takim jak ty, albo kimś,

kim ty mógłbyś się stać. Co wolisz? Ty zdecyduj, czy jestem potworem czy nie.

Gdy Soliński odmawiał udzielenia odpowiedzi, były prezydent naciskał, z odrobiną przekory.

- Co, nie interesuje cię to? To idźmy dalej. Jeśli jestem potworem, będę ci się śnił po nocach, będę twoim koszmarem. Jeśli jestem zaś taki jak ty, będę cię dręczył na jawie. Co wolisz?

Petkanow zaczął targać go za rękę i przyciągnął tak blisko, że Soliński czuł zapach jajka na twardo w jego oddechu.

- Nie pozbędziesz się mnie. Ta cała farsa z rozprawą nic nie zmieni. Zabicie mnie też nic nie zmieni. Kłamstwa na mój temat, mówienie, że wzbudzałem tylko nienawiść i strach, nie miłość, też nic nie zmieniają. Nie pozbędziesz się mnie. Rozumiesz?

Prokurator generalny wyszarpnął dłoń z uścisku. Czuł się zbrukany, zepsuty, cielesnie skażony, napromieniowany do szpiku kości.

- Idź do diabła! - krzyknął i gwałtownie odwrócił się. Znalazł się twarzą w twarz ze strażnikiem, który śledził całą rozmowę z nową, demokratyczną ciekawością. Coś kazało prokuratorowi skinąć uprzejmie głową, a strażnik wyprężył się na baczność, Soliński krzyknął jeszcze raz: - Idź do diabła! Przeklinam cię.

Gdy sięgał ku kłamce, usłyszał szybki tupot. Zdumiał się, jak silna przejęła go groza. Żelazna dłoń złapała go za ramię i odwróciła. Były prezydent wlepił w niego wzrok i mocno pociągnął ku sobie. Prokuratora nagle opuściły siły, toteż niemal zderzyli się wściekłymi

twarzami.

- Nie - powiedział Stojó Petkanow. - Mylisz się. To ja przeklinam ciebie. To ja skazuję ciebie. - Nieulekłe spojrzenie, woń jajka na twardo, stare palce boleśnie zaciśnięte na ramieniu. - To ja skazuję ciebie.

Od czasu przemian ludzie zaczęli powracać do Kościoła. Nie tylko z okazji chrztu czy pogrzebu, lecz po nieokreśloną pociechę, po świadomość, że są czymś więcej niż pszczołami w ulu. Piotr Soliński spodziewał się bab w chustkach, lecz zobaczył ludzi takich samych jak on, młodych, starych, w średnim wieku. Zażenowany stał w sieni kościoła św. Zofii, czuł się fałszywie, nie wiedział, jak się zachować, czy uklęknąć. Gdy nikt nie zakwestionował jego prawa do przebywania w świątyni, powoli ruszył ku prezbiterium wąską nawą boczną. Pozostawił za sobą blade czterdzieści watów marcowego popołudnia. Teraz oczy oswajały się z jasnością, która zawdzięczała swój żywot dookolnemu mrokowi. Świece buchały ogniem, polerowana miedź pałała ku niemu, a wąskie, spiczaste okna skupiały słońce w cienkie, ostre promienie.

Na ciężkim stojaku na świece, najeżonym szpikulcami i zawijasami z kutego żelaza, odgrywany był teatralny spektakl światła. Świece paliły się na dwóch poziomach: na wysokości ramienia - dla żywych, na wysokości kolan - dla umarłych. Soliński kupił dwie świeczuszki i odpalił je od innych. Ukląkł i wcisnął jedną w wysypaną piaskiem tacę na posadzce. Potem wstał i nadział drugą świecę, za

ojczyznę, na czarny żelazny szpikulec. Zbiorowy żar płomieni owiał mu twarz. Cofnął się sztywno, jak generał składający wieniec, i stanął na baczność. Po chwili czubek palca sięgnął czoła, a on bez sprzeciwu dokończył wiekuistego gestu - przeżegnał się od prawej do lewej, na modłę prawosławną.

Na miasto opadł miękko wieczór i deszcz. Na północnym wzgórzu stał betonowy cokół, posepny i bezcelowy. Tablice z brązu po bokach mdło połyskiwały w kropłach deszczu. Bez Aloszy, który wiódł ich ku przyszłości, snajperzy walczyli teraz w innej bitwie: nieistotnej, lokalnej, niemej.

Na kawałku nieużytków koło stacji rozrządu delikatny pot deszczu wystąpił na twarze Lenina i Stalina, Breżniewa i pierwszego przywódcy, a także Stojko Petkanowa. Zbliżała się wiosna, pierwsze pędy wkrótce znów miały się wrzepić w śliski brąz wojskowych buciorów. Lokomotywy podskakiwały w mroku na mokrych zwrotnicach, targały za druty elektryczne, osypywały rzeźbione twarze przelotnym światłem iskier. W tym pośmiertnym Politbiurze debata dobiegła końca; sztywne olbrzymy zapadły w milczenie.

Przed opustoszałym Mauzoleum pierwszego przywódcy stała samotna staruszka. Pod wełnianym beretem miała zawiązany wełniany szalik, jedno i drugie namokło. W wyciągniętych przed siebie dłoniach trzymała niewielki portret W. I. Lenina. Na wizerunku kropił się deszcz, lecz nie zatarta twarz biegła wzrokiem za każdym przechodniem. Jakiś zapalony pijaczyna czy roztrajkotany student krzyczał w stronę staruszki, w stronę odbitego od szybki łzawego

światła. Nie zważając na ich słowa, stała nieporuszona i milcząca.